

Diana Palmer

Komedia omyłek

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ta kobieta musi być kompletnie szalona. Nie mogła wybrać bardziej widocznego punktu na hodowlę marihuany, jej dom znajdował się przecież przy głównej ulicy niewielkiego miasteczka na północy stanu Georgia.

Oczywiście nie mogła wiedzieć, że agent FBI Curtis Russell był właśnie w odwiedzinach u matki, która mieszkała po drugiej stronie ulicy. To, że przebywał na urlopie, nie zwalniało go jednak z czujności, dlatego nie mógł udawać, iż nie zauważa tak ewidentnego i bezczelnego łamania prawa, zwłaszcza, że działa się to tuż pod jego nosem.

Stał w szerokim oknie domu matki, przyglądając się z niesmakiem, jak Marihuanowa Mary troskliwie pielęgnuje zakazane roślinki. Owszem, doskonale wyglądała w beżowych szortach i kremowej koszulce na ramiączkach. Istotnie, miała śliczną, gładką, lekko opaloną skórę, no i te cudowne kobiece kształty... Wynajmowała nieduży dom, jeździła absurdalnie drogim volkswagenem w kolorze groszku, z miękkim, składanym dachem. Zastanawiał się, kim też może być z zawodu. Z tego, co się dowiedział od matki, mieszkała tam zaledwie od trzech miesięcy. W sam raz, by posadzić flance marihuany i doczekać się zbioru. Ze też nie zadała sobie nawet trudu, by je schować za rządkiem tych ładnych krwistoczerwonych kwiatów.

Curtis nie interesował się nigdy ogrodnictwem, więc nie miał pojęcia, co też jeszcze rośnie w ogródku vis-a-vis, jednak konopie indyjskie rozpoznał na pierwszy rzut oka. W końcu w pracy widział je wiele razy na zdjęciach i rysunkach.

- Curt, gotowa jestem pomyśleć, że zakochałeś się w tej dziewczynie z naprzeciwka - stwierdziła matka, tłukąc gotowane kartofle na obiad. - Czemu tak sądzisz?

- Bo od trzech dni gapisz się na nią z okna.

- Nie zakochałem się. - Podniósł się z krzesła i przeciągnął. - Wiesz może, jak ona ma na nazwisko?

- Ryan. Mary Ryan. Niestety, nic więcej o niej nie wiem.

- A do kogo należy ten dom?

- Do Grega Henry'ego. Czemu pytasz?

- Tak sobie.

Przecesał palcami niesforne czarne włosy i uśmiechnął się do matki. Od chwili przedwczesnej śmierci ojca, kiedy to Curt był zaledwie sześciolatkiem, byli tylko we dwoje. Aby mieli co jeść i gdzie mieszkać, Matilda pracowała na dwóch etatach, jako reporterka w lokalnym dzienniku oraz felietonistka w regionalnym magazynie. Kiedy Curt miał dziesięć lat, podjął pierwszą pracę, czyli roznosił gazety, a w wieku szesnastu lat zatrudnił się na pełnym etacie, by wesprzeć domowy budżet. Tak więc można by powiedzieć, że jego przeznaczeniem była

praca, praca i jeszcze raz praca.

Jedynym minusem stanowiska, jakie do niedawna zajmował w służbach specjalnych, a obecnie w FBI, była rozłąka z matką. Na szczęście Matilda nie przesiadywała samotnie w domu, tylko z zapałem uczestniczyła w parafialnych akcjach charytatywnych, a także spotykała się z przyjaciółmi. Od czasu do czasu pisywała też do gazet, i choć nie zajmowała się już sprawami bieżącymi, miała nadal wiele kontaktów w przeróżnych kręgach, włączając w to środowiska, o których Curtis wolał zapomnieć.

- Ciągłe się spotykasz z tym handlarzem bronią? - zapytał ni z tego, ni z owego.

Drobna, siwowłosa Matilda o szelmowskim spojrzeniu uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Nigdy mu nie udowodniono jakiegokolwiek związku z tą sprawą. Zresztą od tamtej pory się zmienił, bardzo się wyciszył. Teraz nawet wyklada w college'u.

- Niesamowite! A czego konkretnie uczy?

- Etyki.

Curtis wybuchnął gromkim śmiechem.

- Żartowałam. - Postawiła na stole półmisek z gorącym daniem. - Wyklada prawo karne.

- Jeszcze lepiej.

- Wielu młodych ludzi ma na pewnym etapie swego życia kłopoty z prawem. - Spojrzała na syna wymownie.

- Ja przynajmniej byłem na tyle przyzwoity, że zdemolowałem własny dom, a nie cudzy.

- I dość rozsądki, by przewidzieć, że bliższe kontakty z osobami niestroniącymi od narkotyków mogą cię wpędzić w kłopoty - zgodziła się. - Ale chyba nigdy przedtem i nigdy potem aż tak się o ciebie nie bałam jak wtedy, gdy znalazłeś się w sądzie. Jako dziennikarka od dziesięciu lat zajmowałam się takimi sprawami, więc dobrze wiedziałam, czym to pachnie.

- Ale potem zachowywałem się już wzorowo. - Ucisnął ją serdecznie. - A teraz ścigam takich gagatków.

- Teraz ścigasz znacznie poważniejszych przestępców. Jestem z ciebie dumna. Doskonale sobie poradziłeś z tym hakerem z Teksasu. Sama słyszałam, jak prokurator generalny cię chwalił.

- Tak, to było coś. - Pokiwał z zadowoleniem głową.

- Tylko błagam, uważaj na siebie. - U siadła do stołu. - Dość się nadenerwowałam, gdy pracowałeś przy ochronie zagranicznych dygnitarzy. Na samą myśl, że będziesz się zajmował tropieniem morderców, dostaję gęsiej skórki.

- Spójrz na to z drugiej strony. Dzięki temu mogłabyś wrócić do gazety i pisać o aktualnych wydarzeniach, bo zapewniłbym ci stały dopływ rzetelnych, choć nieoficjalnych informacji. Przyznasz, że to ciekawsze niż zachwywanie się gigantyczną dynią, która urosła na grządce miejscowego ogrodnika.

- Dziękuję bardzo, wolę spać spokojnie. - Nalała kawy do dwóch filiżanek. - Bardzo mi się podoba, że już nie muszę przerywać odpoczynku, żeby pędzić na miejsce zbrodni ani wnikliwie wsłuchiwać się w przemowy polityków, którzy próbują wszystkim wmówić, że nowa ustawa, tak naprawdę kompletnie bezsensowna, w praktyce się sprawdzi. Tematy ogrodnicze są znacznie przyjemniejsze, a nie wymagają takiego zachodu.

- Słuszna uwaga.

- Poza tym zarabiam teraz więcej niż przed odejściem na emeryturę. To chyba najpoważniejszy argument.

Curtis skinął głową. Z tym nie dało się dyskutować, więc zabrał się do jedzenia.

- A tak naprawdę, to czemu przyglądasz się tej Mary Ryan? - zagadnęła po chwili Matilda.

- Czyżbyś wiedział coś, czego nie wiem ja?

- Jeszcze nie. Ale mam przeczucie, że to tylko kwestia czasu.

Następnego dnia poszedł się zobaczyć z Gregiem Henrym, który prowadził agencję nieruchomości.

Bez zbędnych wstępów zapytał go o nową sąsiadkę matki.

- Czyżby miała jakieś kłopoty z prawem? - zaniepokoił się Greg, jako że dla nikogo z tych stron nie było tajemnicą, czym zajmuje się Curtis.

- A skąd niby mam to wiedzieć? - Wzruszył ramionami. - Dlatego właśnie pytam.

Greki otworzył teczkę Mary Ryan.

- Pochodzi z Ashton, małego miasteczka na południe od Atlanty. Nie figuruje na liście dłużników. Ma doskonałe referencje, choć od dziwnych ludzi.

- Dziwnych? To znaczy?

- Były rewolucjonista z Ameryki Południowej, nawiedzony kaznodzieja, znany z niedzielnego programu w telewizji, kontrowersyjny pisarz, który do niedawna miał swoją kolumnę w jednym z nowojorskich dzienników.

Curta zaintrygowały te informacje. Kim była kobieta, która ma takich przyjaciół? Niestety Greg nie wiedział, jaki zawód wykonuje Mary Ryan, uśmiechnął się tylko dziwnie. Curtisowi nie pozostało więc nic innego, jak przespacerować się na posterunek policji, którym dowodził jego dawny kolega ze szkolnej ławy.

Jack Mallory nie krył rozbawienia, słysząc, gdzie dawno niewidziany kolega znalazł zatrudnienie.

- FBI? - powtórzył ze śmiechem. - Nigdy bym nie pomyślał, że tam trafisz. Zawsze wydawało mi się, że przyjmują tylko rozsądnych, dobrze ułożonych, przewidywalnych ludzi.

- Może rozsądnych i dobrze ułożonych tak, ale z moich obserwacji wynika, że zdecydowanie preferują tych nie przewidywalnych.

- A nie pracowałeś jeszcze do niedawna w służbach specjalnych? Doszły mnie słuchy o jakimś skandalu, w który byłeś zamieszany. Za karę wysłali cię chyba na bagna Okefenokee, żebyś tam ochraniał wiceprezydenta, prawda?

- To bzdurne plotki. Zgłosiłem się na ochotnika. Uwielbiam bagna.

- Naprawdę? - Jack spojrzał na niego z lekkim uśmiechem.

- Nieważne. Słuchaj, naprzeciwko mojej matki mieszka kobieta, która hoduje zakazane rośliny. Na domiar złego przy samej drodze.

- Zakazane, czyli jakie?

- Takie, którymi można się solidnie odurzyć.

- Więc przyjrzyjmy się tym roślinkom.

Pojechali nieoznaczonym policyjnym samochodem, ale gdy zaparkowali przed bramą, Mary Ryan przywitała ich wesołym uśmiechem.

- Dzień dobry, policjo! - Podniosła się z kolan i otrzepała ręce, bo właśnie pielęła grządkę. - Spóźniliście się. W zeszłym tygodniu sama przyznałam się do przekroczenia prędkości, ale skończyło się tylko na ostrzeżeniu. Nie można dwa razy karać za to samo.

- Nie chodzi o wykroczenie drogowe. - Jack zerknął na grządkę i posłał Mary Ryan wymowne spojrzenie. - Czy naprawdę muszę ci tłumaczyć, dlaczego powinnaś je jak najszybciej wyrwać i zniszczyć?

- Nie to tylko ... ! - zaprotestowała.

- Są zakazane i wiesz o tym doskonale - przerwał jej stanowczo.

- Ale takie ładne ... - westchnęła.

- Prawo jest prawem. Naprawdę chcesz, żebym przysłał moich ludzi, by je wyrwali?

- Obejdzie się, dziękuję. Jak widzisz, nie boję się brudnej roboty. Nie i tak bym nie wiedziała, co z nimi dalej zrobić.

- Ja też, ale to nie zmienia postaci rzeczy, że są nielegalne. Nie dalej jak tydzień temu kazaliśmy Jeanette, to dwa domy dalej, zlikwidować całą grządkę. Nie mogę dla ciebie zrobić wyjątku.

- Dobrze już, dobrze - ustąpiła z ciężkim sercem. - To on cię na mnie nasłał, prawda? - Posłała Curtisowi wściekłe spojrzenie. - Widziałam, jak się gapił z okna matki. To jakiś ogródkowy kapuś czy co?

Jack zakrył usta dłonią, choć Curtowi wcale nie było do śmiechu.

- Pani złamała prawo - stwierdził oschłym tonem. - Z tego co widzę, robiła to jak najbardziej świadomie. Jestem agentem specjalnym FBI.

- Nie wiedziałam, że w nazwie pana firmy zaszła zmiana i Federalne zmienili na Florytyczne Biuro Śledcze.

Curt zarumienił się po same uszy i zły jak diabli wrócił do policyjnego wozu, trzaskając za sobą drzwiami, i spojrzał z wyrzutem na Jacka, który wciąż dławił się ze śmiechu.

Było to małe miasteczko, więc informacja o tym niefortunnym spotkaniu szybko dotarła do jego matki. Jeszcze tego samego wieczoru, gdy oglądał telewizję, przyszła do jego pokoju i usiadła na kanapie.

- A więc teraz pracujesz dla Wydziału Narkotykowego? - zagadnęła.
 - Słucham?
 - Wiesz, nigdy bym nie pomyślała, że będziesz zmuszał niewinne kobiety do wrywania kwiatków w swoich ogródkach.
 - To nie były żadne kwiatki, tylko marihuana.
 - Jesteś pewien?
 - Oczywiście. Wiele razy widziałem te rośliny na zdjęciach.
 - Julie Smith ma w ogródku przed domem nieduży klon japoński. Teraz jest prawie łysy, bo jakiś głupiec powiedział koledze, że to marihuana, więc nastolatki zakradają się nocą do jej ogrodu i zrywają liście, żeby zrobić z nich skręty. Bardzo jestem ciekawa, jaki wpływ na ludzkie zachowanie może mieć palenie liści miniaturowych klonów japońskich.
 - Owszem, pomyłki się zdarzają, ale nie zaprzeczyła, a do tego Jack od razu się poznał na tych jej kwiatkach. Powiedział, że to zabroniona roślina i ma wyrwać te wszystkie konopie.
 - Naprawdę nie wiem, jak ja jej teraz spojrzę w oczy ...
 - Przecież nie ty u niej byłaś, tylko ja. Zresztą twoja reputacja nie powinna na tym ucierpieć, wszyscy cię bardzo lubią.
 - To dlatego, że mam poczucie humoru.
 - Ja też mam poczucie humoru - oburzył się.
 - Jasne.
- .Wstała i wyszła, zostawiając go samego z telewizorem.

Następnego dnia po śniadaniu podszedł bosy, w dżinsach i podkoszulce do drzwi po gazetę. Odruchowo zerknął na drugą stronę ulicy i aż się zagotował ze złości. Te przekłete krzaki marihuany wciąż tam rosną! Niewiele myśląc, przebiegł przez ulicę, wszedł do ogródka sąsiadki i wyrwał jedną roślinę, chwycił następną ..

- Proszę przestać! Natychmiast!

Z drzwi domku wybiegła bosa blond furia, ubrana w biały frotowy szlafrok, dopadła do Curta, wyrwała mu z ręki roślinkę i zaczęła go okładać pięściami. Zaskoczony tym niespodziewanym atakiem, zachwiał się i oboje runęli na ziemię.

- Zostaw ... ty ... wandalu! - Zadała mu cios w brzuch.

Szarpnął ją za ramię tak mocno, że przekręciła się plecami do ziemi, i przycisnął, by nie mogła się poruszyć. Nie wpadł jednak na to, że powinien również unieruchomić jej nogi. Przyszło mu to do głowy zbyt późno, gdy wymierzyła mu silnego kopniaka, podniosła się błyskawicznie i stanęła kilka kroków od niego, tuląc do piersi nieszczęsną roślinę.

- To jest naruszenie prywatnej własności!

Wandalizm! Brutalny atak na biedne pomidory. Odpowie pan za to przed sądem!

- Z przyjemnością - mruknął, bezskutecznie próbując obciągnąć jeszcze przed chwilą nieskazitelnie białą koszulkę.

- Naprawdę?! Skoro tak, to chętnie to panu umożliwię. - Wyciągnęła z kieszeni szlafroka telefon komórkowy i wystukała numer. - Dzień dobry, tu Mary Ryan z Cherry Boulevard numer 123. Złapałam na gorącym uczynku chuligana. Zastosowałam areszt obywatelski. Proszę jak najszybciej przysłać radiowóz.

- A drugi dla niej, bo hoduje w ogrodzie

marihuane! - krzyknął w kierunku telefonu. - Słucham?! Jaka marihuane?

- A taką, jaką trzyma pani w ręku!

- To? - Uniosła zgniecioną roślinę. - To jeden z moich krzaków pomidorów na konkurs ogrodniczy. Wyhodowałam je własnoręcznie z nasion. - Spojrzała na niego z politowaniem.

- Jeśli nie odróżnia pan pomidorów od marihuany, to radzę zmienić zawód, bo w Wydziale Narkotykowym niewiele pan zwojuje.

- Pracuję w FBI - oparł z godnością.
- Szczęściarze - prychnęła. - A to się cieszą, jak przeczytają jutrzejsze nagłówki lokalnych gazet.
- Nie dalej jak wczoraj komendant policji nakazał pani wyrwać i zniszczyć nielegalne rośliny.
- Nie zaprzeczę. Już je zresztą wyrwałam.
Chodziło o mak, panie agencie specjalny FBI. Mak, a nie marihuanę.
Zacisnął usta. Sprawiała wrażenie głęboko przekonanej o swej racji. Rozejrzał się dokoła. W kącie ogrodu leżała sterta świeżo wyrwanych roślin, które faktycznie poprzedniego dnia widział na rabatce przy ogrodzeniu. Ale jak to możliwe, żeby nie rozpoznał pomidora?!

- Odpowie pan za to w sądzie - syknęła wściekle, tuląc do piersi zieloną łodyżkę. - Moje biedne pomidory. Może się pan pożegnać z odznaką.
- Bardzo ciekawe. A czym się pani zajmuje, poza uprawą podejrzanych roślin, jeśli można wiedzieć?
- Jestem zastępcą prokuratora okręgowego w sąsiednim hrabstwie - odparła z nieskrywaną satysfakcją w głosie.
- Chyba pani żartuje!
- Chciałby pan. Przeniosłam się tu z Ashton, gdzie pracowałam dla organizacji zajmującej się udzielaniem bezpłatnych porad prawnych ludziom, których nie stać na adwokata. Wydawało mi się, że będzie to awans nie tylko zawodowy, ale i społeczny. Teraz jednak widzę, że się myliłam, bo trafiłam do jakiejś Durnej Wólki.
- Nie jestem durniem! - oburzył się.
- Za to mordercą niewinnych pomidorów, wychodzi więc na jedno.
- To wcale nie wygląda na krzak pomidorów - szedł w zaparte.
Byli tak pochłonięci sporem, że nie zauważyli, iż z okolicznych domów powychodzili mieszkańcy i przypatrywali się im z dużym zaciekawieniem. Nie spostrzegli także zbliżającego się policyjnego samochodu.
- O nie, tylko nie to - jęknął Jack, wysiadając z auta.
- Wtargnął na mój teren, dokonał aktu przemocy i wyrwał krzak pomidorów! - dramatycznie oskarżała Mary. - Myślał, że to marihuana. Może byście sprawdzili, skąd on wziął odznakę FBI? Założę się, że ukradł!
- Po pierwsze, to ona na mnie napadła. Po drugie, czy to nie wygląda jak krzak marihuany? - bronił się Curt.
- Żądam, żeby został aresztowany za włamanie, przemoc i wandalizm.
Jack podszedł bliżej, oglądając się raz po raz za siebie.
- _ Czy macie pojęcie, jak sędzia Wills zareagowałby, gdybyście przyszli do niego z taką sprawą? Mary, jak będziesz się czuła, gdy na zakończenie pierwszego kwartału pracy publicznie najesz się wstydu w sądzie?
Spuściła głowę.
- A ty, Curt, czy naprawdę chcesz tłumaczyć sędziemu, dlaczego wyrwałeś krzaki pomidorów z ogródka sąsiadki? Sędzia Wills znany jest jako wielki miłośnik pomidorów, sam je hoduje na konkurs.
Curtis skrzywił się, jak gdyby kazano mu połknąć ćwiartkę cytryny.
- Mogę napisać notatkę służbową i nadać bieg sprawie, ale radzę wam, żebyście potraktowali to wydarzenie jako ważną lekcję życiową. Wróćcie do domów i weźcie długą, relaksującą kąpiel.
Przyjrzeni się sobie nawzajem. Byli umazani błotem, jako że poprzedniego wieczoru padał deszcz.
- Wydaje mi się, że możemy całą sprawę rozstrzygnąć polubownie. Agent specjalny Russell z pewnością odkupi ci zniszczoną roślinę, prawda? - Jack zerknął wymownie na kolegę.
- Tak - zgodził się niechętnie Curt.
- Wyhodowałam ją z nasionka - przypomniała Mary Ryan.
- W takim razie ja też wyhoduję ją z nasionka. Mogę nawet ją wysiadywać niczym bezcenne jajo, jeśli ma pani takie życzenie.

Posłała mu mordercze spojrzenie.

- Centrum ogrodnicze przy zjeździe z autostrady ma duży wybór sadzonek - podsunął Jack. - Od tradycyjnych, przez różne odmiany, aż po te doskonale rutgersy, które hodujemy z żoną.

- Nie będę chytrusem, kupię pani dwa rutgersy - zgodził się szarmancko Curtis. - Mogę je nawet własnoręcznie posadzić.

- Dziękuję bardzo, wolę nie. Sądząc po pańskiej głębokiej wiedzy na temat ogrodnictwa, posadzi je pan korzeniem do góry.

- Hola, hola. - Komendant uniósł ręce, by ich uciszyć. - Jeśli tak dalej pójdzie, będę zmuszony aresztować was oboje za zakłócanie spokoju. Nie poczekam, aż się przebierzecie, a musicie wiedzieć, że co rano na posterunek przychodzi fotoreporter z lokalnego dziennika. Z pewnością ucieszy się z tak wdzięcznej pary modeli.

Spojrzeni po sobie.

- Dwa rutgersy. Dzisiaj - powiedziała twardo.

- Dwa - zgodził się.

- W takim razie wycofuję zgłoszenie. - Tuląc przywiedniętą roślinkę, wróciła do domu, dla własnej satysfakcji trzaskając na do widzenia drzwiami.

Curt odwrócił się na pięcie, przeszedł przez ulicę, minął oniemiałą z wrażenia matkę i bez słowa zniknął w domu, Jack zaś wsiadł do radiowozu i odjechał, zastanawiając się, czy do momentu wyjazdu Curta Russella czeka go choć jeden nudny dyżur.

Po zakupieniu i dostarczeniu dwóch sadzonek pomidorów odmiany rutgers do ogrodu Mary, Curtis wziął prysznic i przebrał się w dżinsy, sportową bawełnianą koszulę oraz brązowe zamszowe mokasyny. Zamierzał usiąść sobie wygodnie w saloniku, by trochę odpocząć, jednak pechowo natknął się tam na matkę, więc nie było mu to dane.

- Może się wreszcie dowiem, o co w tym wszystkim chodziło? - zaczęła spokojnie.

- Wyrwałem z jej grządki krzak pomidorów, a ona mnie zaatakowała - wyjaśnił bez owijania w bawełnę.

- Dlaczego wyrwałeś ten nieszczęsny krzak?

- Bo myślałem, że to marihuana.

- Pomyliłeś pomidor z marihuaną?

- Nie miałem z sobą zdjęcia, żeby je porównać - tłumaczył się bez Większego

przekonania. - Zresztą byłem tam wczoraj z Jackiem, który kazał jej usunąć nielegalne rośliny, a ona się zgodziła. Skąd miałem wiedzieć, że mówili o makach?

- O makach? A to dopiero! Przyznać trzeba, że to przepiękne kwiaty. Niestety figurują na liście zakazanych roślin. W przeciwieństwie do pomidorów.

- Proszę cię, nie pastw się nade mną.

- Dobrze, dobrze. Co było dalej?

- Musiałem pojechać do sklepu ogrodniczego i kupić jej dwie sadzonki rudgersów. Przed chwilą je posadziłem. Dzięki temu wycofała oskarżenie o nielegalne najście, przemoc i wandalizm, a ja obiecałem, że nie pozwę jej za napaść.

- Napaść?!

- Tak jest, napadła na mnie z użyciem krzaka pomidorów.

Matilda tylko cudem nie ryknęła śmiechem. - Mam niedługo zebranie komitetu - poinformowała, gdy udało jej się odzyskać względną powagę. - Zjesz lunch na mieście?

- Jasne. Zresztą i tak miałem taki zamiar. Muszę zajrzeć do okręgowego biura FBI.

- W takim razie do zobaczenia na kolacji. Miłego dnia, synku - dodała, spoglądając na niego z rozbawieniem.

Gdy kwadrans później wychodził z domu, starannie unikał zerkania na drugą stronę ulicy, na wypadek gdyby szalona ogrodniczka obserwowała go ze swych okopów. Wycofał auto z podjazdu i włączył się do ruchu. Dokładnie w tym samym momencie z tyłu dobiegło go głośne trąbienie. Zajrzał w lusterko wsteczne. Mary Ryan siedziała w swym groszkowym volks-wagenie, wygrażając mu pięścią. Jak się okazało, wycofując, niemalże uderzył w jej przedni

zderzak, brakowało zaledwie paru centymetrów. Uśmiechnął się do niej w lusterku, machając przy tym wesoło, na co ona znów zatęskniła. Ruszył powoli, bez pośpiechu, choć miał ochotę wystartować z piskiem opon, by w swej jeżdżącej zabaweczce mogła powąchać dym z jego rury wydechowej. Ku swej irytacji wkrótce przekonał się, że zabaweczka ta potrafi całkiem szybko jeździć, bo gdy tylko znaleźli się na stanowej autostradzie, zielone autko śmignęło mu z lewej strony. Znajdowali się około trzydziestu kilometrów od miasta, w którym mieściła się siedziba zarówno sądu okręgowego, jak i biura FBI. Curt miał nieprzyjemne przeczucie, że obie instytucje, należące przecież do jednego resortu, mieszczą się pod tym samym dachem.

Jak wkrótce się przekonał, jego podejrzenia nie były bezpodstawne. Aby dostać się do środka, musiał przejść przez bramkę wykrywającą metale, a także wyłożyć na tackę zawartość wszystkich kieszeni. Nie pomogła nawet legitymacja FBI. Tym bardziej więc upokorzył go fakt, że chwilę po jego wejściu w budynku zjawiła się miłośniczka pomidorów, ubrana w modny jasnoszary kostium i grafitowe szpilki, a uśmiechnąwszy się słodko do strażnika, przeszła obok bez zbędnych ceregieli.

Gdy wreszcie udało mu się dostać do środka, przeszedł się powoli korytarzem prowadzącym do biura FBI. Sekretarka kazała mu usiąść w recepcji, bo agent, z którym miał się spotkać, rozmawiał właśnie przez telefon z kimś niesłychanie ważnym. Na szczęście długo nie musiał czekać, bo dwie minuty później sekretarka z uśmiechem poinformowała go, iż może już wejść.

Uśmiech, z jakim powitał go ów agent, sprawił, że zmiękły mu nogi. Nawet nie musiał pytać, czy informacje o pomidorowej bójce zdążyły już pokonać trzydziestoparokilometrową odległość od jego rodzinnego miasteczka ...

ROZDZIAŁ DRUGI

Hardy Vicks, agent specjalny o sympatycznej twarzy, wskazał mu krzesło. Po urlopie to właśnie Hardy miał być jego bezpośrednim przełożonym, teraz zaś chciał przedstawić mu szczegóły pewnego śledztwa.

- T o naprawdę uciążliwa sprawa - stwierdził, nie kryjąc irytacji. - T en człowiek - rzucił na biurko parę zdjęć - to Abe Hunt, świadek koronny w śledztwie prowadzonym przez nasze biuro w Atlancie. Dzięki niemu skazano właściciela klubu erotycznego, który okazał się ważną figurą w siatce handlarzy narkotyków. W dodatku wyszło na jaw, że miał powiązania z mafią z Miami.

- Jak rozumiem, są jakieś kłopoty? - zapytał Curt, przypatrując się postawnemu mężczyźnie o ciemnych oczach, kręconych kruczoczarnych włosach i szerokiej, dość nawet sympatycznej twarzy.

- Nie możemy go odnaleźć. Żyje w ukryciu, bo nie wierzy, że jesteśmy mu w stanie zapewnić bezpieczeństwo. W szczególności obawia się niejakiego Danielsa, mafijnego snajpera. Zresztą trudno mu się dziwić, bo Daniels jest wyjątkowo skutecznym zabójcą. W każdym razie Hunt jest dla nas cennym źródłem informacji, więc gotowi jesteśmy zapewnić mu nietykalność, nawet nową tożsamość, jeśli tylko zgodzi się znów zeznawać. Trzymaliśmy go już w specjalnej kryjówce w Doraville, ale niestety agencji, którzy mieli go pilnować,

oglądali w telewizji nowy teleturniej i kiedy wykrzykiwali odpowiedzi, Hunt po prostu wyszedł z domu i zniknął. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że jesteś na wakacjach, ale byłibyśmy wdzięczni, gdybyś miał uszy i oczy otwarte. Wiem, że jego dwaj kuzyni mieszkają niedaleko ciebie, jeden z nich dwa domy od twojej matki.

- Naprzeciwko nas mieszka pani Ryan, zastępca prokuratora okręgowego, czemu nie poprosicie jej o pomoc?

- Już to zrobiliśmy. Od razu się zgodziła, a potem zapytała, czy jesteś uzbrojony.

- Słucham? - Curt zmarszczył gniewnie brwi.

- Była ciekawa, czy twój dzienny przydział to więcej niż jedna kulka. - Vicks starał się zachować kamienny wyraz twarzy.

- To najgorsza żołą, jaką znam.

- Naprawdę? To należysz do jednoosobowej mniejszości, bo wszyscy mężczyźni w promieniu trzydziestu kilometrów są odmiennego zdania. A już dla nas jest nadzwyczaj miła.

- Wskazał leżącą na biurku papierową torebkę pełną kruchych ciasteczek. - Upiekła je własnoręcznie i obdarowała oba biura. Jak na żołą, ma wyjątkowy talent kucharski.

- Czy coś jeszcze? - Curt postanowił pominąć tę uwagę pełnym wyższości milczeniem.

- Nie, póki jesteś na urlopie. - Vicks wstał, by uściśnąć mu rękę na pożegnanie. - A, mam dla ciebie wiadomość z Wydziału Narkotykowego. Gdybyś stracił u nas pracę, nie wysyłaj do nich podania. Podobno nie są zainteresowani krzakami pomidorów. Hej, dokąd się tak spieszysz?! Russell!

Ale Curt był już na schodach. W rękę ścisnął fotografię Hunta z taką siłą, że była już niemal całkiem zgnieciona. Aż się gotował ze złości. Nie pamiętał, kiedy ostatnim razem zdarzył mu się tak fatalny dzień.

Gdy wrócił przed dom matki, okazało się, że to jeszcze nie koniec kłopotów. Na samym środku podjazdu siedział wielki, wychudzony, rudy kundel. Curt zatrał, ale zwierzę się tym nie przejęło. Zirykowany, zatrał ponownie, tym razem przytrzymując dłużej klakson. Po chwili przed dom wybiegła matka, gestem wskazując, by był cicho.

- Nie hałasuj! - poprosiła, gdy opuścił szybę. - Sąsiad zza płotu pracuje w nocy, więc teraz pewnie śpi.

- Nie mogę zaparkować, ten kundel mi przeszkadza.

- Jaki kundel? - zdziwiła się. - Przecież ja nie mam psa.

Curtis wskazał ruchem głowy zwierzę, które właśnie układało się wygodnie na podjeździe.

- O, piesek. Skąd on się tu wziął?

- Nie wiem. Może go zapytasz? - zaproponował, nie kryjąc irytacji.

Matka posłała mu pełne wyrzutu spojrzenie i poszła przekonać psa, by łaskawie przeniósł się w inne miejsce. Gdy jej się to nie udało, pospieszyła z powrotem do domu, by za moment powrócić z kawałkiem surowego mięsa. Pies powąchał kąsek, a potem podniósł się i poszedł za Matildą, dzięki czemu Curt mógł wreszcie zaparkować pod wiatą. Kiedy dotarł do wejścia, psisko siedziało już na werandzie, oblizując się z widoczną satysfakcją. Nic nie wskazywało na to, żeby wybierało się dokądkolwiek.

- Nie możesz hodować ogara w mieście - oświadczył matce.

- To nie ogar, tylko seter irlandzki. Nie widzisz, jakie ma długie uszy? Ciekawe, skąd się tu wziął.

- Może spadł z nieba?

- Nie żartuj sobie. W okolicy jest zbieg, świadek koronny - poinformowała szeptem. - Jego kuzyn mieszka w tym białym domu nieopodal.

- A skąd ty to wiesz?! - zdumiał się. - Dopiero przed chwilą dowiedziałem się o tym od szefa tutejszego biura FBI, gdzie po urlopie zamierzam pracować.

- Jestem doświadczoną dziennikarką. - Wzięła się pod boki. - Mam swoje sposoby.

- Ale przecież od dawna jesteś na emeryturze.

- Spotkałam dziś żonę tego kuzyna w sklepie

spożywczym. Mówiła, że nie cierpi tego typu, ale jej mąż jest w niego wpatrzony jak w obrazek, bo przyjaźnił się z nim jacyś znani sportowcy. - Pokręciła głową z dezaprobatą. - Nie cierpię sportu.

- Ja też. A ta sąsiadka nie wie przypadkiem, gdzie jest teraz Abe Hunt?

- Nie, ale obiecała, że mnie powiadomi, jak tylko cokolwiek usłyszy. Niestety wyjeżdżają na wakacje, nie powiedziała mi dokąd.

- Może powinniśmy kogoś powiadomić?

- Zerknął na czworonożnego przybłądę. - Jest tu w okolicy jakieś schronisko?

- Tak, nawet niedaleko stąd ... Ale właśnie je remontują. Zresztą on ma obrozę, więc może znajdziemy jego adres. - Przykucnęła, żeby zdjąć psu obrozę, ten zaś nadstawił głowę do pieszczot. - A może to pies więzienny? Swoją drogą, ciekawe, jak się tu dostał? Przypilnuj go, a ja pójde zadzwonić, może się czegoś dowiem.

Chcąc nie chcąc, Curt usiadł na schodach obok bestii.

- Widzisz to? - Odsunął połę kurtki i wskazał na pistolet, który tkwił w kaburze. - Jeśli tylko spróbujesz się wymknąć, zastrzelę cię w mgnieniu oka.

W odpowiedzi zwierzę polizało go po policzku.

Kilka minut później matka powróciła na werandę. Wyglądała na zaniepokojoną.

- W więzieniu nic nie wiedzą o zbiegłym psie.

Zatelefonowałam też do szeryfa, ale nie mają zgłoszenia o zaginionym seterze. Zdaje się, że nikt nie ma pojęcia, skąd się wziął.

- A może należy to któregoś z sąsiadów?

- Tak sądzisz? - Matilda zadumała się.

Zerknął na drugą stronę ulicy, marszcząc czoło z dezaprobatą.

- Może sprawiła go sobie twoja sąsiadka Marihuanowa Mary?

- Mary? Nie, na pewno nie ma psa, choć miałyby gdzie go trzymać. - Ruchem głowy wskazała starą szopę, znajdującą się na terenie jej działki.

- A może to pies naszego zbiega? Może zainstalował się w szopie, a kundla podestał tu, żeby odwrócić naszą uwagę?

- Interesujący pomysł. - Roześmiała się. - Najlepiej będzie, jak zadzwonię do lokalnej stacji radiowej, żeby nadali ogłoszenie. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że usłyszysz je właściciel i zgłosi się po swego pupila.

- A zanim się to stanie ... ?

- Możemy go tu przechować. Chodź, piesku!

Otworzyła drzwi frontowe.

- Nie możesz trzymać w domu takiego wielkiego zwierzaka. Założę się, że ma pchły, kleszcze i wszystkie możliwe choroby. A co, jeśli wskoczy na kanapę?

Przyjrzała mu się ze zdziwieniem.

- A kiedyś tak bardzo chciałeś mieć zwierzę. Nigdy nie mogliśmy mieć psa ani kota, bo tata cierpiał na alergię, więc potraktuj to jako rekompensatę.

- Jestem już na to za stary.

- Wątpię. - Odwróciła się w kierunku drzwi kuchennych, jako że znajda już się tam skradała. - Każdy chłopiec powinien mieć psa.

- Tak? W takim razie kupię sobie owczarka niemieckiego.

- Za duży, kochanie.

- A ten rudy potwór jest mniejszy?

Matka nic nie odpowiedziała, tylko zamknęła drzwi, więc niechętnie udał się do swojej sypialni, by przebrać się w wygodniejszy strój. Z kieszeni kurtki wyjął zdjęcie zbiega, przyjrzał mu się uważnie i ustawił na biurku.

Nim przyszła pora kolacji, pies został wykąpany, wyczesany i ochrzczone imieniem Rudy. Lokalna rozgłośnia poinformowała już o jego znalezieniu, niestety żaden stęskniony właściciel się nie zgłosił. Wieczorem zwierzę wskoczyło na kanapę, ułożyło się obok zde gustowanego Curta i wpatrzyło się w ekran telewizora, jakby faktycznie było zainteresowane programem informacyjnym, w którym roztrząsano naj nowszy polityczny skandal.

- Tak cię to ciekawi? - zagadnął Curtis, spoglądając na jego pysk, spoczywający na skrzyżowanych przednich łapach. - Pewnie nie macie psich afer, dlatego ludzkie wydają się wam takie zajmujące.

Rudy podniósł na niego spojrzenie, zamachał ogonem i znów wpatrzył się w ekran.

- Jaki on mądry - stwierdziła Matilda.

- Hm, mądry?

- Nie biega jak opętany po całym domu, nie szczeka ani nie próbuje nic zniszczyć, tylko leży sobie spokojnie i ogląda telewizję.

W tym momencie prezenter zapowiedział zmianę tematu, a na ekranie pojawił się mężczyzna, którego fotografia stała na biurku w sypialni Curta. Na widok Hunta pies zastrzygł uszami i szczeknął głośno.

- Cicho! - mruknął Curtis, pochylając się w kierunku odbiornika, by nie uronić ani jednego słowa.

Reportaż był krótki i nie wnosił nic nowego.

Abe Hunt najpierw oświadczył, że niczego nie wie i nie zamierza zeznawać, a dwa dni po nagraniu zniknął i nie wiadomo, gdzie się ukrył.

- Pewnie leży na dnie jeziora Lanier - zawyrokował Curt.

- Jeśli tak, to prędko go nie znajdą - skomentowała Matilda, nie przerywając haftowania. - Woda jest jeszcze zimna i nawet wiosenne słońce nieprędko ogrzeje ją tak mocno, by zwłoki wypłynęły na powierzchnię.

- Zawsze masz na podorędziu jakieś ciekawostki o trupach. Skąd ty tyle wiesz?

- Kiedyś spotykałam się z koronerem. Pokręcił głową i wrócił do oglądania wiadomości. Ni z tego, ni z owego pies podniósł głowę i zawył.

- Przestań! - ofuknął go. - Co się z tobą dzieje? Zwierzę spojrzało na niego, machając intensywnie ogonem.

- Pewnie jest głodny - zawyrokowała matka. - Nakarmię go makaronem z obiadu. Chodź, Rudy.

Zwierzak natychmiast powędrował za nią, reagując na nowe imię, jakby nosił je od dawna. Curt odprowadził go ponurym wzrokiem. Zapowiadały się beznadziejne wakacje. Najpierw krwi napsuła mu Marihuanowa Mary, teraz zaś kundel z piekła rodem wprowadził się do jego matki.

Gdy już się położyli spać, pies powędrował do salonu, usiadł przyoknie i zawył tak rozdzierająco, że pewnie zbudził wszystkich w promieniu kilkunastu kilometrów. Jak się można było spodziewać, za moment rozległ się dzwonek do drzwi. Curt zwał się niechętnie z łóżka. Jakimś cudem matka wciąż spała, bo mijając jej sypialnię, słyszał spokojne, miarowe pochrapywanie. Zanim otworzył drzwi, wrzasnął jeszcze na psa, który nie przestawał wyć. Na ganku stała Marihuanowa Mary, ubrana w długą, granatową bawełnianą koszulkę i puchate różowe kapcie. Najwyraźniej zdążyła już zasnąć, bo każdy jej włos sterczał w inną stronę.

- Czy mógłby pan zakneblować swojego kundla, bo są tu tacy, którzy pracują i chcą się choć trochę zdrzemnąć - wycedziła z nie skrywaną wściekłością.

- Ja też pracuję - odparował.

- O ile mi wiadomo, jest pan na wakacjach.

Trzymała ręce na biodrach, przez co nieświadomie uwydatniała swój kształtny biust. Curt bezwiednie utkwił w nim spojrzenie, na co ona zareagowała znaczącym chrząknięciem. Gdy zjrzał jej w oczy, zarumieniła się gwałtownie.

- A skąd w ogóle ten pies tu się wziął? Wczoraj go tu jeszcze nie było.

- Matka go nakarmiła i nie chciał odejść. W dodatku oglądał z nią wiadomości, a że to jej ulubiony program, nadała mu imię i pozwoliła zostać. A pani czemu włóczy się po okolicy w nocnej koszuli?

- To nie jest koszula nocna! - zaprotestowała, a jej wzrok padł na jego nagi tors. Widać było, że chce odwrócić oczy, jednak nie jest w stanie się do tego zmusić.

- Proszę się tak na mnie nie gapić! Napastowanie seksualne to ciężkie przestępstwo. Mogłbym panią aresztować.

Otworzyła usta, by coś odpowiedzieć, ale z oburzenia nie mogła wydobyć z siebie głosu, bo tylko poruszała bezdźwięcznie wargami.

- Może i lepiej, że nic pani nie mówi, bo za wyzwiska też można posiedzieć - zauważył, świetnie się przy tym bawiąc.

- Ten pies ... - wykrztusiła, wskazując na zwierzę, które znów zaczęło wyć. - T en pies narusza ciszę nocną. Mogłabym pana aresztować za to, że pan do tego dopuścił. Jestem przedstawicielką wymiaru sprawiedliwości.

Wsparł dłoń na biodrze i spojrzał na nią z całkiem nowym zainteresowaniem. Była naprawdę bardzo ładna, a jej porywczy temperament mógł imponować, zwłaszcza komuś tak żywiołowemu jak on. Od dawna nie spotkał równie interesującej kobiety. Chętnie poznałby ją bliżej.

- Nie mógłby pan jakoś go uciszyć? - poprosiła, zmieniając taktykę.

- Mogłbym, gdybym wiedział, dlaczego tak wyje. Może pani wejdzie, omówimy problem przy filiżance kawy - zaproponował łagodnym tonem i otworzył szerzej drzwi.

Pies zachował się, jakby od dawna na to czekał.

Wybiegł do korytarza i jak strzała przemknął między nogami Curta, szczerząc się jak opętany.

- Wracaj tu! - krzyknął za nim, pełen obaw, co rano powie matka, gdy odkryje, że zgubił jej pupila. - Do diabła, *muszę* go dorwać.

Nie zważając na swój strój, popędził za czworonożnym zbiegiem. Mary przez chwilę stała na werandzie, potem bezradnie rozłożyła ręce, obróciła się na pięcie i pobiegła w ślad za Curtisem. Skoro już i tak nie było jej dane zasnąć, mogła równie dobrze wesprzeć go w pogoni.

Światła w okolicznych domach zapalały się, a mieszkańcy spoglądali przez okna na skąpo ubraną parę, która pędziła za ujadającym wściekle wielkim, rudym psem. Nagle Curt skręcił do niewielkiego lasu za domem Mary, więc poszła w jego ślady. Zaraz jednak wpadł na leżący na ziemi pęd dzikiej róży, zawył z bólu i zaczął podskakiwać na jednej nodze, próbując w słabym świetle ulicznych latarni usunąć kolce. Nie było to proste zadanie, bo lampy mrugały każda w swoim tempie. Wzywani wiele razy pracownicy elektrowni twierdzili jak jeden mąż, że to normalna sytuacja, choć na innych ulicach nic podobnego się nie działo. Chcąc nie chcąc, mieszkańcy nauczyli się już z tym żyć, jednak Curta to nie dotyczyło. Przeklinał głośno, chwielejąc się na zdrowej nodze.

Coraz więcej drzwi się otwierało, pies na przemian czekał i wył coraz głośniejsze, Mary zaś krzyczała, żeby się uciszył. Taką to właśnie sytuację zastał patrol policyjny. Radiowóz zatrzymał się z piskiem opon, a następnie dwaj młodzi funkcjonariusze wyskoczyli na chodnik, celując do wygrażającego latarniom i psu Curtisa.

- Ręce do góry! - krzyknął jeden z policjantów.

- Nie *mogę*, mam kolce w stopie i *muszę* ją podtrzymywać. Zresztą jestem agentem FBI.

- A ja Królową Śnieżką. No już, ręce do góry! Bo będę strzelał!

- Strzelaj sobie, proszę bardzo. Wszystko mi jedno. Tylko rozwal najpierw tę latarnię, bo dłużej tego nie znośę.

W tym momencie jak na komendę światło zgasło, a cała okolica pograżyła się w ciemności. Po krótkiej naradzie policjanci włączyli reflektor na dachu radiowozu. Snop światła objął nie tylko Curta, ale również Mary i nieszczęsnego psa, którzy jakimś sposobem znaleźli się u jego boku.

- Co tam się dzieje, do diabła?! - krzyknął z irytacją jakiś sąsiad.

Curt spojrzał na Mary, po czym oboje popatrzyli na psa. Czekala ich długa noc ...

Jak się można było spodziewać, zostali zatrzymani i doprowadzeni na posterunek. Rzecz jasna, nie mieli przy sobie dokumentów, więc najpierw należało sprowadzić kogoś, kto mógłby ich zidentyfikować. Nie było sensu dzwonić do Matildy Russell, która słyneła z twardego snu, więc Curt zmuszony był poprosić oficera dyżurnego, by zatelefonował do swego szefa, Jacka Mallory'ego, by przyjechał na posterunek i potwierdził tożsamość kolegi.

Na szczęście policjanci byli na tyle uprzejmi, że dali Mary koc, by mogła przykryć gołe

nogi.

- Śmierdzi tu, jakby ktoś zwymiotował - stwierdziła, spoglądając z wyrzutem na Curta.
- Nic dziwnego, to przecież policyjna izba wytrzeźwień.
- Ale ja nie jestem pijana!
- Ani ja, ale z jakiego innego powodu mielibyśmy ganiać nocą po okolicy w piżamach?
- Z powodu twojego psa!
- O, wypraszam sobie, to nie mój pies, tylko mojej matki.
- W takim razie niech ona się tłumaczy przed policją.
- Nie ma mowy, śpi jak kamień i nie budzi się przed dziewiątą. A jak wstanie, będzie się zastanawiać, czemu nie ma mnie w domu.
- Może ta bestia stanie przy jej łóżku i zawyje prosto do ucha?
- Wątpię, chyba że umie otwierać drzwi. - Westchnął. - Nie będzie to ciekawie wyglądać w moich papierach.
- Oj, nie - zgodziła się z podstępny uśmiechem. - Może powiem im, że szukałeś latającego talerza? Ze goniłeś za kosmitą?
- Ani mi się waży!
- A czemu niby nie? Najpierw oskarżasz mnie o uprawę marihuany, potem niemal rozbijasz mi samochód, cofając bezmyślnie, a w końcu napuszczasz na mnie to koszmarnie hałaśliwe stworzenie, żebym nie mogła zmrużyć oka przed najważniejszą rozprawą mojego życia. O nie! - jęknęła, zakrywając usta dłonią. - Muszę być w sądzie o dziewiątej, żeby przedstawić zarzuty handlarzowi narkotyków. Jeśli się nie zjawię, sędzia może potraktować go łagodnie. Czas leci, a ja tu siedzę z tobą - dodała z nie skrywaną niechęcią.
- Przecież to oczywiste nieporozumienie. Gdy tylko zjawi się Jack, będziemy mogli wrócić do domu.
- A jeśli się nie zjawia?
- Cierpliwości. Na pewno jest już w drodze.

Faktycznie, Jack przybył kilka minut później, uśmiechnięty radośnie, w towarzystwie miejscowego fotoreportera, znanego z wyjątkowo ciętego poczucia humoru. Jak się okazało, pracował do późna w ciemni w siedzibie gazety, więc Jack zabrał go po drodze na posterunek. Zanim podejrzani zdążyli otworzyć usta, zostali sfotografowani w swych niekompletnych strojach.

- Świetnie. Jak by tu zatytułować tak doskonale ujęcia? Jeden z najbardziej obiecujących agentów FBI oraz młoda pani prokurator figlują po północy na obrzeżach miasteczka z wielkim rudym psem?

- Możesz jeszcze dodać, że był to jakiś pogański rytuał - odpowiedział komendant. - Kto wie, może należą do sekty ...

- Zabierz mnie stąd! - przerwał mu Curt.
 - I mnie! - Mary stanęła u jego boku z rozwianymi włosami i furią w oczach. - O dziewiątej mam rozprawę w sądzie okręgowym w Lanier. Ważną rozprawę - dodała z naciskiem.
- Jack przypatrywał się z nieskrywanym rozbawieniem jej gołym nogom i stopom w puchatych różowych kapciach.

- Nie wątpię, że zrobisz na sędzim Willsie piorunujące wrażenie.
- Zaoferuję mu koszyk najdojrzalszych pomidorów z mojego ogródka.
- Szkoda, że jeszcze ich nie ma, bo gdybyś przyniosła mu je w takim stroju, miałby czym w ciebie rzucać - zachichotał Jack. - No dobrze, Harry, już wystarczy tej zabawy, możemy im pokazać aparat.

Fotoreporter otworzył pokrywę. Pojemnik na kliszę był pusty. Mary i Curt zmierzli go pełnym wyrzutem spojrzeniem. W tym momencie zjawił się oficer dyżurny, by otworzyć celę.

- Następnym razem, zanim zaczniecie się ganiać po nocy, zastanówcie się dwa razy, dobrze? - poprosił komendant. - Naprawdę nie lubię, kiedy się mnie wyciąga z łóżka dwie godziny po tym, jak się do niego położyłem.

- Naprawdę bardzo mi przykro - wymamrotał Curt. - Pies wył jak opętany, więc pani Ryan rzekomo przyszła, by go uciszyć, ale tak naprawdę chodziło jej tylko o to, żeby mnie

epatować niekompletnym strojem. Kiedy się na nią gapilem, pies uciekł, więc musieliśmy za nim gonić i ..

Jack uniósł rękę.

- Nic nowego, takie historie słyszałem już wiele razy. Mary, jak możesz napastować bogu ducha winnego agenta specjalnego FBI?

Nie miała najmniejszego zamiaru odpowiadać na takie pomówienie, kopnęła tylko Curta z całej siły w łydkę, odwróciła się gwałtownie i przeszła przez poczekalnię, w której kilku funkcjonariuszy popijało kawę.

- Co się gapiacie?! - wrzasnęła, gdy utkwili w niej zdumiony wzrok. - To przecież zwykła bawełniana koszulka.

Wzruszyli ramionami, co ani trochę jej nie uspokoiło. Gdy tylko znalazła się za drzwiami posterunku, zdała sobie sprawę, iż czeka ją długi spacer do domu. W tym stroju miała marne szanse, by dotrzeć tam nie niepokoiona. Nie wiedziała nawet, że w tym samym momencie to samo przeszło przez myśl Curtowi, który właśnie mijał tych samych oficerów, co ona parę chwil wcześniej. W przeciwieństwie do niej, obdarzył ich pełnym wyższości uśmiechem. Miał idealne ciało i był tego w pełni świadomy. Niektórzy z dyżurujących policjantów byli od dawna żonaci i dzieciaci, więc wyhodowali spore brzuszki. Z dumnie podniesioną głową przemaszzerował przez środek komisariatu i wyszedł na zewnątrz.

- Dokądś się wybierasz? - zapytał Mary.

- Do domu, jak mi się uda znaleźć środek

lokomocji. - Posłała mu druzgocące spojrzenie. - Mnie przynajmniej dali koc.

- Nie był mi potrzebny. - Wyprostował się dumnie. - Szkoda chować to, co się ma najlepsze.

Uniosła stopę, ale był szybszy. Wycofał się w porę, by uniknąć bolesnego kopniaka, który z pewnością nie pomógłby jego obolałej od różanych kolców nodze. Musiał jednocześnie przyznać, że drażnienie Mary Ryan sprawiało mu szczególną przyjemność.

- Nic ciesz się nadmiernie, jeszcze czeka się polowanie na psa - przypomniała.

- Jak znam życie, od dawna sterczy pod domem.

- Hej, nocni kowboje! - zawołał ze swego auta Jack. - Jeśli chcecie, żebym was podwiózł, to się pospieszcie, bo spać mi się chce.

Z niezadowoleniem odkryli, że z przodu siedzi już fotoreporter. Na szczęście przez całą drogę do domu nie odezwał się ani słowem, aparat również trzymał schowany w torbie.

- Proszę bardzo. - Komendant zatrzymał się na ich ulicy. - Od tej pory proszę nie opuszczać domu po północy. Moi ludzie mają ważniejsze sprawy na głowie niż zabawa w berka z golasami. A kiedyś to było takie spokojne miasteczko - westchnął i zanim zdążyli cokolwiek odpowiedzieć, zamknął okno.

Przez chwilę obserwowali oddalający się pojazd. Na horyzoncie powoli się rozwidniało. Spędzili na posterunku znacznie więcej czasu, niż im się zdawało.

- Chyba nie ma sensu się już kłaskać - stwierdziła z rozpaczą w głosie Mary. - Dzięki tobie pewnie usnę w czasie wniosków końcowych.

- Jeśli uda ci się zamknąć taką sprawę w jeden dzień, kaktus mi tu wyrośnie.

- Fakt, pewnie potrwa to ze trzy albo cztery dni.

- Przyjrzała mu się z rozbawieniem. - Rzeczywiście

musieliśmy dziwnie wyglądać, ganiając po ulicy. - Pogańskie rytuały. - Uśmiechnął się. - Muszę to zapamiętać, żebym miał o czym opowiadać kolegom w pracy.

- Nie ma takiej potrzeby. Jestem pewna, że Hardy Vicks poinformuje każdego, kogo uda mu się dopaść. - Zmarszczyła brwi. - Ale tak naprawdę, to po co ci pies? Matilda wspominała, że nigdy nie mieliście zwierzęcia. Nie jesteś przypadkiem uczulony na sierść?

- Nie, to mój ojciec był uczulony. A pies jest mi zupełnie zbędny, to matka go przygarnęła. - Ciekawe, skąd się wziął...

- Nie mam pojęcia.

Spojrzał w kierunku domu. Na parterze wszystkie okna były oświetlone. Czegoś takiego się nie spodziewał. Nie zdążył nawet tego skomentować, gdy drzwi frontowe otworzyły się i stanęła w nich matka, obok niej zaś czworonożna przyczyna jego nocnych kłopotów.

- No, jesteś wreszcie! Co robisz na ulicy nocą i w piżamie? - Spojrzała na Mary. - A ty,

czemu stoisz na chodniku w kocu?

Mary odwróciła się bez słowa i pobiegła do domu, zastanawiając się, czy ktoś nie skorzystał z okazji, że zapomniała go zamknąć. Curt westchnął ciężko i ruszył do wejścia. Ciekaw był, w jaki sposób wyjaśni matce, co się wydarzyło. Pies zaś nie odrywał od niego oczu, machając entuzjastycznie ogonem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Następnego popołudnia Curt odczekał, aż Mary odpocznie po powrocie z pracy, zostawił matkę w towarzystwie nieodłącznego psa i przeszedł na drugą stronę ulicy. Zadzwoił do drzwi. Otworzyła mu od razu, ale wyglądała na zaniepokojoną.

- Coś nie tak? - spytał pospiesznie.

- Wejdz, proszę. - Poprowadziła go do kuchni i podała filiżankę kawy. - Wiem od Matildy, że lubisz czarną, bez cukru. Kiedy wróciłam nad ranem do domu, okazało się, że ktoś przetrząsnął kuchnię i zabrał bochenek chleba oraz wędlinę.

- Nie zamknęłaś drzwi na klucz? - Gdy posłała mu pełne wyrzutu spojrzenie, unióś rękę w pojednawczym geście.

- Nie chciałam znów mieć do czynienia z policją, więc tylko przeszukałam dom, starannie zamknęłam drzwi i położyłam się spać. Kiedy przyszedłeś, miałam właśnie rozejrzeć się po ogrodzie.

- Pomogę ci. W służbach specjalnych współpracowałem z agentem, który pochodził z plemienia Lakota. Nauczyłem się od niego wielu pożytecznych rzeczy, na przykład wyszukiwania i odczytywania śladów.

- Twoja matka wspominała, że macie trochę indiańskiej krwi.

- T o prawda. Mój dziadek figurował w spisie Indian plemienia Czirokezów z Karoliny Północnej. A twoja rodzina skąd pochodzi?

- Z Danii i Szkocji.

- T o by wyjaśniało blond włosy.

- Powinieneś zobaczyć mojego *tatę*. - Roześmiała się. - Metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, blond włosy i niebieskie oczy. - U rwała na chwilę, przypatrując mu się z wahaniem. - Kiedy zmarł twój ojciec?

- Dawno, miałem wtedy sześć lat. Mama obudziła się pewnego ranka, a on martwy leżał obok niej. Niezbyt dobrze go pamiętam.

- Na pewno nie było jej łatwo samej cię wychować.

- Nie, ale doskonale dała sobie radę. - W jego głosie pobrzmiwała duma. - Pracowała jako dziennikarka, wiedziała wszystko o wszystkich. Zawsze kręciła się wokół niej masa kuratorów, policjantów, sędziów, prokuratorów. Pewnie dlatego wybrałem taki zawód.

- Tak, jest niesamowita - przyznała Mary, odstawiając na stół pustą filiżankę. - To jak, idziemy się przekonać, ile naprawdę jest w tobie indiańskiej krwi?

Podniósł się z uśmiechem. Mary wcale nie kryła, że wątpi w jego tropicielskie talenty, zamierzał więc jej udowodnić, jak bardzo się myli. Gdy znaleźli się na tyłach domku, zatrzymał się i w skupieniu ogarnął wzrokiem najbliższą okolicę. Kilka ścieżek prowadziło od

kuchennych drzwi w głąb ogrodu.

Curt odtworzył w pamięci marihuanową aferę, przypomniał sobie, którędy chodził Jack i on, gdzie była Mary, dokąd musiała przejść, by odłożyć wyrwane maki.

- Zauważyłam nowe krzaki pomidorów - odezwała się, przerywając jego skupienie -
Bardzo dziękuję.

- Nie ma za co - mruknął. - Nie ruszaj się, dobrze?

Wszedł w głąb ogrodu, co jakiś czas przyklękając, by z bliska przyjrzeć się ziemi i roślinom. Nagle zatrzymał się, potem skręcił w stronę ulicy. - Ktoś tędy szedł! - zawołał. - Od szopy do ulicy.

Dołączyła do niego i razem zaczęli się przyglądać śladom na trawie wzdłuż chodnika. Curt kazał Mary przykucnąć i wskazał coś na ziemi. - Przecież to zwykła mrówka. - Spojrzała na niego podejrzliwie. - Czyżbyś rozumiał mowę owadów?

- Mów ciszej. Kiwaj od czasu do czasu głową, jakbyś się ze mną zgadzała. Zdaje się, że ktoś nas obserwuje.

Skinęła głową.

- Ktoś od kilku dni przebywa w twojej szopie

- oznajmił półgłosem. - Ślady nie kłamią, zresztą są tak wyraźne, że każdy mógłby się zorientować. - T o by tłumaczyło przeszukanie mojej kuchni. Musimy zadzwonić na policję.

- Po co? Przecież jestem policjantem. W pewnym sensie.

- Owszem, ale to nie twój rejon.

- Od niedawna już tak. Jak sądzisz, czemu

odwiedziłem nasze biuro okręgowe w Lanier? Po wakacjach zaczynam tam pracę.

- Co za degradacja! Przeniesienie z Austin w Teksasie do takiej zapadłej dziury. Przyznaj się, komu nadepnąłeś na odcisk?

- Nikomu - mruknął urażony. - Muszę się zobaczyć z Jackiem. Lepiej chodź ze mną.

Podejrzewał, że w szopie chowa się zbiegły świadek koronny, który wprawdzie nie stanowił specjalnego zagrożenia, jednak Curt uznał, że na wszelki wypadek lepiej usunąć Mary ze strefy zero.

- Nie mam czasu, muszę się przygotować do jutrzejszej rozprawy.

- Nie zamierzam cię tu zostawić samej, skoro w okolicy kręci się zbieg - oznajmił tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Bez względu na to, czy ci się to podoba, czy nie.

Nie wiedziała, czy wszcząć awanturę i wy krzycheć, że sama świetnie sobie poradzi, czy może jednak przyznać, że zbiegły przestępca to jak na nią zbyt wiele.

- Mary, gdybym był na twoim miejscu, po prostu bym ustąpił. Prawnicy wprawdzie wymierzają sprawiedliwość, ale słowem, nie bronią.

- Poddaję się. Ale muszę wrócić do domu po teczkę i komputer.

- W takim razie chodźmy razem.

- A nie lepiej byłoby najpierw przeszukać szopę?

- Nie. Jeśli akurat tam jest, to tylko go wypłoszymy, bo nie mam jeszcze uprawnień, żeby go zatrzymać. Zresztą ślady wskazują na to, że wyszedł. Sprowadźmy policję, niech oni się tym zajmą.

Mary szybko spakowała się i przebrała w eleganckie szare spodnie oraz biały dzianinowy golf bez rękawów.

- A co, jeśli jednak ucieknie i nie wróci? - zaniepokoiła się. - Wyjdzie na to, że go wypłoszyliśmy i solidnie oberwiemy.

- Mam przecucie, że nas obserwował. Weźmie nas za głupców, pod naszą nieobecność wróci i zatrze ślady, odczeka, aż policja przeszuka szopę i znów się w niej zainstaluje, bo poczuje się całkowicie bezpieczny.

- abyś miał rację ...

- abym - zgodził się z uśmiechem.

Ze zdumieniem odkryła, że na widok jego uśmiechu zrobiło jej się dziwnie przyjemnie.

- Ile masz lat? - zainteresował się.

- Dwadzieścia siedem. Byłeś kiedyś żonaty? - wyrwało jej się.

- Nie, nie miałem na to czasu. A ty?
 - Tak. Wysłałam za mąż jako osiemnastolatka. Rodzice nie mogli przemówić mi do rozsądku, więc zgodzili się, żeby nie stracić ze mną kontaktu. Też miał osiemnaście lat, ale jak na swój wiek był bardzo dojrzały, ja natomiast byłam rozpuszczoną, upartą nastolatką, która nie potrafiła zdobyć się na żaden kompromis. Nasze małżeństwo nie trwało nawet pół roku, ale wciąż się przyjaźnimy. Ożenił się ponownie, ma miłą żonę i kochane dzieci.
 - A czym się zajmuje? - zapytał, czując całkowicie nieuzasadniony przyptyw zazdrości.
 - Jest trenerem piłki nożnej w szkole średniej. - Nie cierpię piłki nożnej.
 - Ja też. To był jeden z naszych problemów, bo z kolei dla niego piłka to najważniejsza rzecz na świecie.
 - A lubisz jakieś zimowe sporty?
 - Łyżwiarstwo i narty.
 - Świetnie, bo dla mnie istnieją tylko zimowe sporty.
- Uśmiechnęła się do niego. Na początek dobre choć tyle.

Poinformowali Jacka o odkryciu, jakiego dokonali w ogrodzie Mary.

- Masz jakiś pomysł, kto to może być? - spytał komendant.
 - Hm, niech pomyślę ... Wiemy, że w okolicy ukrywa się zbiegły świadek koronny. Jego kuzyn mieszka dwa domy od Mary, a ktoś koczuje w jej szopie. Słowo daję, nie mam pojęcia, kto to mógłby być - zakończył kpiącym głosem.
- Jack przewrócił oczyma.
- Musisz mu wybaczyć, jest tylko agentem FBI. - Mary porozumiewawczo mrugnęła do Jacka.
 - Problem w tym, że nie chciałem go spłoszyć, więc nic nie zrobiłem. Wątpię, czy jest uzbrojony, ale skoro pochodzi z szemranego środowiska, wolałem nie ryzykować. Zresztą Mary była ze mną ..
 - Bardzo słusznie, nie wolno narażać cywilów na niebezpieczeństwo.
 - Nie jestem cywilem - stwierdziła z pretensją w głosie.
 - Z mojego punktu widzenia jesteś. A może chcesz trochę popracować na swoim laptopie?
 - Jasne.
 - Hej, Ben! - zawołał Jack w kierunku drzwi.
- Policjant zajrzał do środka. - Tak jest, szefie?
- Zabierz pannę Ryan do gabinetu Dona i uprzątnij biurko, żeby mogła pracować.
 - Tak jest. Proszę za mną, panno Ryan. Curt miał ochotę zapytać, czy Ryan to Jej nazwisko panieńskie, czy po *mężu*, ale uznał, że lepiej będzie poczekać na bardziej sprzyjające okoliczności.
- _ Facet nazywa się Abe Hunt - zaczął, gdy zostali sami. - Widziałem jego akta, ma na koncie kilkanaście spraw różnego kalibru. Mary jest naprawdę odważna, ale jak by co do czego przyszło, nie dałaby sobie rady. Jest bardzo postawny, jak to zapaśnik, kiedyś brał udział w profesjonalnych walkach. Musimy go jakoś wywabić z tej szopy.
- Jak już to zrobimy, to dokąd pójdzie? Chyba nie do kuzyna, aż taki głupi nie jest, prawda?
 - Nie, zresztą kuzyn i tak już się zmył z miasta. Hunt głupi nie jest, ale całkiem zdesperowany. Nie chce, żebyśmy go złapali, ale chyba jeszcze bardziej nie chciałby, żeby odnaleźli go dawni kumple. Założę się, że *będzie* się z nami bawił w kotka i myszkę.
 - Jak chcesz, *mogę* wystąpić o posiłki z okolicznych hrabstw.
 - To całkiem niezły pomysł. Mógłbym poprosić o agentów FBI, ale za bardzo by się rzucali w oczy. Ja przynajmniej mam oczywisty powód, żeby tu być, *więc* nie wzbudzę podejrzeń, nawet jeśli *będę* więcej przebywał u Mary niż u matki.
 - W takim razie wezmę ludzi i od razu pojedę przeszukać szopę. Hunt pomyśli, że skoro nic nie znaleźliśmy, damy sobie spokój, i poczuje się bezpiecznie.
 - Też mi to przyszło do głowy. Dzięki, Jack.
 - Nie ma za co, wykonuję tylko swoje obowiązki. Ale co zrobisz, jak go złapiemy? Przecież nie można go zmusić do składania zeznań.

- Zmusić nie, ale jak się ma perspektywę dożywocia za współdziałanie w zabójstwie, nagle nabiera się ochoty do gadania. Nie wiem, czy ci o tym wspominałem, ale drugi potencjalny świadek został znaleziony w nurtach Chattahoochee z kulą w tyle głowy.

- Tak, to zmienia postać rzeczy.
- Dziwię się Huntowi, że tak ucieka przed nami. Jeśli mafia dopadnie go pierwsza, będzie już po nim. - Prawie mi go szkoda.
- Mnie też ... prawie - zaśmiał się Curt.
- Postaram się obrócić jak najszybciej. W ekspresie znajdziecie kawę, poczęstujcie się.
- Dzięki, Mary napoiła mnie już kofeiną.
- No, no, bratamy się z nieprzyjacielem? - Jack obrzucił go badawczym spojrzeniem.
- Czego by nie powiedzieć, to całkiem ładny nieprzyjaciel.
- Co prawda, to prawda. Do zobaczenia.

Curt zajął miejsce po drugiej stronie biurka i przyglądał się Mary przy pracy. Po paru minutach zerknęła na niego znad laptopa.

- Jakiś ty cichy - zauważyła cierpko.
- Nie chcę przeszkadzać.
- Przeglądałam notatki, muszę je posegregować na jutrzejszą rozprawę.
- Jakie stawiasz zarzuty?
- Facet przesmuglował spory snopek marihuany między snopkami zwykłego siana. Miał siatkę dilerów w kilku szkołach średnich.
- Dzieciaki z liceum handlują narkotykami, strzelają do swych rówieśników ... Na jakim świecie my żyjemy?!

- Dzieciaki zbyt dużo czasu spędzają bez nadzoru, nie mają kontaktu z rodzicami, za mało sportu, za dużo gier komputerowych, gdzie zabija się bez opamiętania. I tak dalej, i tak dalej. Przyczyny znają wszyscy, tylko nikt nie ma na to recepty.

- Recepta jest prosta. - Wzruszył ramionami.
- Wiedzieć, co twoje dziecko robi w każdej minucie doby. Być w domu, gdy wraca ze szkoły. Znać jego kolegów i przyjaciół.
- Doprawdy? - prychnęła. - Ile dzieci wychowałeś?
- To recepta mojej matki. - Uśmiechnął się.
- Jak widać, skuteczna.

- Nie do końca. Miałem swoje sposoby, by wymknąć się spod jej kontroli. Zawsze spała kamiennym snem, więc zwiewałem przez okno, a ona o niczym nie wiedziała. Aż do chwili, gdy zostałem aresztowany. Nie zrobiłem nic złego, tylko byłem w nieodpowiednim momencie w złym towarzystwie. Z dziećmi, które ćpały. Ale samo aresztowanie to nic w porównaniu z tym strasznym rozczarowaniem, które zobaczyłem w oczach matki, gdy przysłała mnie odebrać za kaucją. Boleśnie ją zawiodłem. Był to dla mnie taki szok, że od tamtego czasu staram się być czysty jak łąza - dodał niby żartobliwie.

- Cóż, twoja matka jest mądra i miła, ale gdybyś miał szczególne skłonności do łamania prawa, nawet ona nie powstrzymałaby cię przed degrengoladą. Co do mnie, to raz zostałam zatrzymana za przekroczenie prędkości.

- Zgroza, prawdziwa zgroza. - Zaśmiał się.
- Ojciec dał mi szlaban na dwa miesiące, ominął mnie bal maturalny i randka, o której marzyłam od paru miesięcy. Ale i tak, jak widzę przed sobą pustą szosę, kusi mnie, by ostro przycisnąć pedał gazu.

- Dotąd nie wspomniałaś o matce - zauważył z wahaniem.

- Nie mam z nią kontaktu. - Zesztywniała.
- Dlaczego?
- Rzuciła tatę dla instruktora aerobiku. W dodatku kompletnego czubka, który nie jadł normalnego jedzenia i spędzał każdą wolną chwilę na ćwiczeniach ciała. Szybko doprowadził ją do szału, bo po dwóch miesiącach próbowała wrócić do taty, ale nie wpuścił jej do domu. Zresztą uważam, że bardzo słusznie. Przeprowadziła się do

Kalifornii, z tego, co wiem, obecnie mieszka z nauczycielem walk wschodnich.

- Przykro mi.

- Nigdy nie byłem z nią blisko. To tata zabierał mnie na przyjęcia, szkolne bale i inne imprezy. Ona nigdy nie miała dla mnie czasu, pochłaniały ją ważniejsze sprawy, takie jak brydż, gimnastyka czy podróże.

- Nie pracowała?

- Nie musiała, rodzice zostawili jej niezły majątek. Z kolei tatę nigdy nie interesowały jej pieniądze, zawsze ciężko pracował, bez względu na wysokość wynagrodzenia - dodała z nieskrywaną dumą.

- Jesteś do niego podobna?

- Z rysów twarzy, koloru włosów, ale wzrostu mi nie przekazał.

- Skończył studia?

- Tak, siedem lat temu. Byłem z niego naprawdę dumna.

- Nie wątpię. - Uśmiechnął się.

- Matka nawet nie ma matury. Nie czuła takiej potrzeby, żadnych ambicji. - W jej głosie słysząc było cień pogardy.

- Niektórzy ludzie po prostu nie czują potrzeby, by zdobywać wiedzę.

- Ale ty czułeś.

- Owszem, pewnie też dzięki temu, że moja matka ciężko pracowała na moją edukację i normalny, zasobny dom, do którego bez wstydu mogłem zapraszać kolegów. Kiedy poszedłem na studia, nadal mnie wspierała, choć sam zarabiałem na chesne. Dzięki temu nigdy nie zawałem żadnego przedmiotu, bo o pieniądze na poprawkę nie byłoby łatwo.

- U mnie było podobnie. Tata oczywiście mi pomagał, ale większość wydatków pokrywałem ze stypendium i z pensji kierownika nocnej zmiany w barze z hamburgerami.

- Ciężko pracowałaś.

- Owszem, ale mimo to udało mi się ukończyć studia z siódmą lokatą. Tata pękał z dumy, matka nawet nie pofatygowała się na uroczyste rozdanie dyplomów.

- A w ogóle ją zaprosiłaś?

- Szczerze mówiąc, nie. - Odwróciła wzrok.

- Wiedziała, że i tak nie przyjdzie.

- A twój były?

- Aż tak bliskich kontaktów nie mamy. Zresztą nie sądzę, żeby to się podobało jego żonie, choć jest naprawdę bardzo miła.

- Szczęściarz z niego.

- Hej, ja też jestem miła. Potrafię gotować, trochę też szyję.

- Czyżbyś ogłaszała przetarg?

- Całkiem nieźle wyglądasz bez koszuli.

- Śmiało spojrziała mu w oczy. - I nie jesteś taki sztywny i nieprzystępny, jak mi się na początku zdawało. Myślę, że będą z ciebie jeszcze ludzie.

- W jakim sensie?

- Tego jeszcze nie wiem. - Pochyliła się nad laptopem.

Agent FBI Curtis Russell skrzyżował ręce na piersi. Poczł się zagrożony, ale, ku swemu zdumieniu, całkiem mu się to spodobało.

Jack wrócił po godzinie. Mina, z jaką stanął w drzwiach gabinetu, nie napawała zbyt dużym optymizmem.

- W szopie nie ma żadnych śladów, by ktokolwiek tam przebywał. Jesteś pewien, że ktoś tam faktycznie się ukrywał?

Curt skinął z przekonaniem głową.

- Moi ludzie przeczesali każdy centymetr kwadratowy, ale niczego nie znaleźli. Nie mogę w tej sytuacji założyć całodobowej obserwacji. - Rozłożył bezradnie ręce.

- Jasne, że nie. T rudno, wyciągnę z szafy mój

komandoski kombinezon i przesiedzę całą noc w lesie, może coś wypatrzę.

- Zastanów się, czy jednak się nie pomyliłeś.

- Nie tym "razem.

Przyzwyczał się już, że często kwestionowano jego opinie. Był tym zmęczony, ale nie protestował, gdyż wiedział, że niczego w ten sposób nie osiągnie. Wystarczyło popełnić jeden drobny błąd, a konsekwencje ciągnęły się latami, jeśli nie do samego grobu.

- OK, Russell - westchnął z rezygnacją Jack. - Zrobię, co zechcesz, skoro tak twardo obstajesz przy swoim.

- Będę miał komórkę, jak tylko zadzwonię, przyjeżdżaj natychmiast. O nic więcej nie proszę. No, może jeszcze poza tym, żeby twoi chłopcy nie skuli mnie w kajdanki, gdyby któryś z sąsiadów mnie zobaczył i wpadł w panikę.

- Masz to jak w banku - roześmiał się Jack.

Nie padało wprawdzie już od jakiegoś czasu, ale mimo to w lesie było wilgotno, więc leżenie na pośłaniu z liści nie należało do przyjemności. Noc była zaskakująco cicha i spokojna, słychać było tylko cykanie świerszczy, nawet Rudy nie szczekał ani nie wył. Co ciekawe, od poprzedniego wieczoru był dziwnie cichy.

Po powrocie nad ranem z posterunku Curt błagał matkę, by zadzwoniła do schroniska i dowiedziała się, dokąd można przekazać psa, ale była już do niego tak przywiązana, że nawet nie chciała o tym słyszeć. Co więcej, ostentacyjnie wybrała się do sklepu zoologicznego i kupiła bestii duży worek najdroższej karmy. Widząc, że sytuacja staje się z każdą minutą coraz bardziej beznadziejna, Curt obdzwonił wszystkie okoliczne gabinety weterynaryjne, ale, jak się okazało, nikt nie zgłosił zaginięcia rudego setera. Być może poprzedni właściciel tak się ucieszył, że wreszcie może odespać bezsenne noce, iż nie wychodził z łóżka i nie zwracał sobie głowy poszukiwaniami rudego potwora.

Gdy przyszedł wieczór, Curt wstał z kanapy, na której od paru godzin walczył z włochatym rywalem o godziwą przestrzeń do odpoczynku. Przebrał się w czarny kombinezon, pomazał i warz i wyszedł z domu tylnymi drzwiami, by okrężną drogą dotrzeć do lasu za domem Mary.

Obserwacja szopy przyniosła mu jak dotąd rozczarowanie, ponieważ budynek wciąż pozostawał pusty. Był przekonany, że ktoś się tam wcześniej krył, ale nie potrafił tego udowodnić, zwłaszcza po wizycie patrolu policyjnego. Wreszcie zaczęły go ogarniać wątpliwości. Może to wcale nie był Abe Hunt? Czy człowiek urodzony i wychowany w Miami, nie znający zasad przetrwania w polowych warunkach, był w stanie odnaleźć i zatrzeć własne ślady?

Było coś jeszcze, co go nurtowało. Kuzyn Hunta, który mieszkał przy tej samej ulicy, spakował żonę, dzieci oraz niezbędne manatki i wyjechał z miasta. Curt specjalnie minął po drodze jego dom, żeby upewnić się, czy nie został on opuszczony tylko po to, by Abe mógł się w nim ukryć. Nie znalazł nic, co mogłoby wskazywać, że ktokolwiek kręcił się wokół budynku w czasie nieobecności gospodarzy.

Nie działo się absolutnie nic. Rudy przybłęda spał jak zabity, nikt nie zbliżał się do szopy, nikt nie przeszedł nawet ulicą. Curt westchnął głęboko i oparł się plecami o drzewo, wpatrując się w ciemność.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Okolo ósmej rano Curt wszedł zmęczonym krokiem przez tylne drzwi. Powitał go zapach świeżo usmażonych naleśników oraz radosne szczeknięcie Rudego.

- Czyż on nie jest słodki? - rozpromieniła się matka, która podrzucała właśnie na patelni kolejny naleśnik. - Chodź, skarbie, zjedz coś. Musisz być śmiertelnie zmęczony.

- Jestem zmęczony, a w dodatku cały wysiłek na nic - oznajmił zniechęconym głosem, chusteczką ścierając z twarzy farbę kamuflażową. - Nic się nie działo, absolutnie nic.

- Domyślam się, bo Rudy nawet nie pisał.

- Myślisz, że to ma jakiś związek?

- Chyba tak, skoro poprzedniej nocy był jak opętany, a mówisz, że ktoś ukradł Mary jedzenie z kuchni. Nawet zdołał mnie obudzić, gdy policja odwoziła was na posterunek.

- Do tej pory nie wiem, jak mu się to udało.

- Hałasował pod oknem mojej sypialni.

- Właśnie, to dziwne, że był akurat tam, prawda?

- Umyj ręce, proszę.

Podszedł do zlewozmywaka, zastanawiając się przy tym na głos:

- _ Pod twoją sypialnią znajduje się piwnica. Może nasz zbieg próbował się tam ukryć, podczas gdy my szukaliśmy go gdzie indziej.

- Cóż, nie zamykam wejścia do piwnicy.

- Dzisiaj kupię porządną kłódkę. - Usiadł przy stole. - Jeśli nawet próbował się tu schować, więcej nie będzie miał ku temu okazji.

- Nie wydaje ci się dziwne, że uciekinier chciałby się ukryć pod bokiem agenta FBI?

- Owszem, zwłaszcza że jego kuzyn mieszka dwa domy dalej. - Nałożył sobie solidną porcję naleśników.

Po śniadaniu przejechał się do sklepu z artykułami metalowymi, a następnie udał się do okręgowego biura FBI w Lanier, by porozmawiać z agentem Vicksem.

- _ Mam pewien pomysł - oznajmił już od progu przełożonemu.

- A mianowicie?

- Nie chciałbym zdradzać szczegółów, póki nie będę miał absolutnej pewności. - Usiadł wygodnie na wskazanym krześle. - Czy mógłbyś oddelegować dwóch ludzi do całodobowej obserwacji pewnego obiektu?

Odpowiedź, jaką otrzymał, była tak głośna, że aż sekretarka zajrzała przez uchylone drzwi, by sprawdzić, z jakiego powodu jej szef wprost pęka ze śmiechu.

- Nie ma sprawy - obruszył się Curt. - Poproszę miejscową policję albo szeryfa. Oczywiście jeśli złapiemy tego, kogo zamierzam złapać, cała załuga przypadnie im, ale trudno ...

- Russell, tobie zawsze się wydaje, że wiesz, o co chodzi, a potem wychodzi na to, że nie miałeś bladego pojęcia. Obsesyjnie uganiałeś się za tą blondynką w San Antonio, kiedy odwożono do aresztu żonę gubernatora z zarzutem morderstwa ~ przypomniał nie bez satysfakcji.

- Była ważnym świadkiem. Wytropiłem ją w końcu, a nawet doprowadziłem do jej ekstradycji z Ameryki Południowej, żeby mogła zeznawać.

- Tak, to prawda. Zgoda, zobaczę, co się da zrobić. W razie czego gdzie mam wysłać ludzi?

- Do mojej piwnicy.

- Co?! To już nie możesz sam posprzątać?

- To zagospodarowana piwnica - oznajmił urażonym tonem. - Mamy nawet stół do bilarda, mogą sobie zagrać, jeśli lubią.

- W takim razie być może sam się zgłoszę na ochotnika. Bardzo lubię grać w bilard. Odezwę się, jak coś będę wiedział, ale może mi to zająć parę dni.

- Trudno, mam nadzieję, że do tego czasu nikt nie przepłoszy Hunta.

Cóż, o to już możesz się sam zatroszczyć, za to ci w końcu płacimy.

Wychodził na ulicę, gdy dogoniła go Mary Ryan. Ubrana była w szary kostium składający

się z żakietu i spodni, do tego biała bluzka, przez co wyglądała bardzo poważnie i profesjonalnie.

- Słysząc coś nowego?

- Tak, dowiedziałem się właśnie, że mój przełożony lubi grać w bilard.

- Mój również. - Zachichotała.

- Niestety, zorganizowanie całodobowej obserwacji może zająć nawet kilka dni, a mam poważne podejrzenia, że do tej pory nasz zbieg dawno się ulotni. Jak się okazało, kiedy policja odwoziła nas na posterunek, pies wył pod oknem sypialni mojej matki, a tak się składa, że znajdują się tam też drzwi do piwnicy.

- Myślisz, że tam się schował?

- Pewnie tak. Nie było wprawdzie oczywistych śladów, ale zauważyłem, że kilka książek na półkach zmieniło kolejność. Poza tym kule bilardowe były ułożone na stole, a ja je zawsze zostawiam w łazach.

- Dziwnie się zachowuje jak na kogoś, kto się ukrywa.

- Właśnie. - Pokiwał głową w zamyśleniu.

- A jeśli wcale się przed nami nie chowa?

Jemu też od jakiegoś czasu chodziło to po głowie.

- Otóż to. Może wręcz przeciwnie, chce kontaktu, ale nie wie, jak to zrobić, by nie wysłedziła go mafia. Z tego, co wiem, szuka go pewien snajper o nazwisku Daniels.

- No to super... Na pewno będę spać spokojnie ze świadomością, że w twojej piwnicy albo mojej szopie czai się strzelec wyborowy.

- Jeśli cię to pocieszy, też nie jestem tym zachwycony. Nie zapomnij, że moja matka również jest na linii ognia.

- Przynajmniej masz psa.

- Kolejny nie pasujący element układanki. Skąd się wziął? Czemu przyplątał się akurat do mojej matki? Do kogo tak naprawdę należy?

- Może przyłgał do Matildy, bo po prostu lubi zwierzęta?

- Może, ale przyznasz, że zjawił się w dziwnym momencie.

- To prawda. Idę na lunch, masz ochotę na sałatkę?

- Czemu nie. Podejrzewam, że zanim dotrę do domu, moja zupa będzie już w żołądku tego rudego przybłądy.

- Twoja mama jest zupełnie niesamowita. - Zaśmiała się.

- Oj tak. Kiedy byłem dzieckiem, nigdy nie wiedziałem, skąd tym razem zadzwoni, by oznajmić, że znów się spóźni. Raz było to zza kordonu radiowozów, bo czekała, aż zdejmą z dachu jakiegoś snajpera. Innym razem pędziła na miejsce wybuchu bomby, podłożonej w związku z jakąś aferą narkotykową.

- Prowadziła bardzo ekscytujący tryb życia.

Co skłoniło ją do rezygnacji? - zainteresowała się Mary, gdy wchodzili do kafejki.

- Ja - przyznał ze wstydem. - Jako nastolatek zacząłem jej się dawać we znaki, więc zrezygnowała z dobrze płatnej pracy w dziale miejskim i zaczęła pisać felietony, aby w każdej chwili być do mojej dyspozycji. Jestem jej za to wdzięczny, myślę, że wyratowała mnie z nie lada kłopotów. Niestety, wydaje mi się, że mimo wszystko na pewnym etapie życia chłopak potrzebuje ojca, choćby nie wiem jak dobrą miał matkę. Wiem, że to bardzo niepoprawna politycznie opinia ...

- Ja nie wyobrażam sobie życia bez ojca ...

- Chciałbym kiedyś go poznać - wyrwało mu się niespodziewanie.

- Naprawdę? - Jej oczy zaśniły.

Była śliczna, gdy się tak ożywiła. Uśmiechnął się do niej, ona zaś zareagowała lekkim rumieńcem. Szybko odwróciła wzrok i zajęła się nalewaniem wody do szklanki, nie była jednak w stanie ukryć delikatnego drżenia rąk. Widok ten sprawił mu niesłychaną przyjemność.

Gdy usadowili się przy stole, wrócili do tematu zbiega, pojadając przy tym frytki ze wspólnego talerza.

- Jeśli w okolicy kręci się snajper, Hunt musi o tym wiedzieć. W takim razie co on tu jeszcze robi?
- Sam sobie zadaję to pytanie. Nie miałem odwagi powiedzieć tego wszystkiego przełożonemu. W czasie ostatniego śledztwa wpadłem w niezłe kłopoty i odkąd przeszedłem do FBI, koledzy nie pozwalają mi o tym zapomnieć.
 - W naszym biurze się mówi, że ktoś ci pomógł w tym przejściu.
 - Marc Brannon. Współpracowałem z nim przez dwa lata w Teksasie. Szczerze mówiąc, jest spokrewniony z wiceprezydentem i prokuratorem generalnym Georgii.
 - Miałeś niezłe plecy.
 - Cóż, gdybym się nie wkręcił do FBI, poszedłbym siedzieć. Na szczęście ktoś wpadł na pomysł, że ukarze mnie, zsyłając na północ Georgii, z dala od ekscytujących wydarzeń.
 - Jeśli nasze podejrzenia się sprawdzą, twoi przełożeni będą musieli zmienić zdanie. Czy wspominałam ci, czym zajmuje się mój tata?
 - Nie.
 - Jest policjantem.
 - A to dopiero! - Zaśmiał się. - Czemu się do tej pory nie domyśliłem?
 - Odkąd skończył studia, pracuje w administracji, ale przez wiele lat był detektywem. Dużo się nauczyłam, obserwując go i słuchając.
 - Słusznie, to najskuteczniejsza metoda.
 - Co zamierzasz dalej?
 - Chcę założyć podsłuch w piwnicy.
 - Naprawdę? To może zajmiesz się też moją szopą?
- Jasne. Jeśli naprawdę chcemy go złapać, niestety musimy liczyć tylko na siebie, bo moi przełożeni są sceptycznie nastawieni do całej sprawy, czy też raczej do mnie.
 - Sięgnęła przez stół, by w pokrzepiającym geście położyć mu dłoń na ręku.
 - Jeszcze im pokażesz!
 - Dzięki. - Spuścił wzrok, aby nie dać po sobie pokazać, jak ucieszyło go jej zaufanie.
 - Czasem wystarczy, gdy ktoś w człowieka uwierzy. - Uśmiechnęła się. - Zrobię, co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

Zanim jednak dotarł z powrotem do domu, brak postępów w śledztwie pozbawił go dobrego samopoczucia. Matka siedziała na kanapie z laptopem na kolanach, pies spał smacznie, leżąc na środku salonu łapami do góry. Curta przywitał leniwym uniesieniem jednej powieki.

- Ale z ciebie stróż - mruknął, siadając na fotelu.
- Gdzie byłeś?
- Próbowałem przekonać niektórych, że nie jestem idiotą.
- Przecież to oczywiste, że nim nie jesteś, kochanie. *Mogę* ci jakoś pomóc?
- Właściwie czemu nie? Masz przecież imponujące doświadczenie w sprawach kryminalnych. Jak sądzisz, kto się ukrywa w szopie na tyłach domu Mary?
- Abe Hunt, twój świadek koronny, który nie chce zeznawać. O tym właśnie próbujesz przekonać swoich szefów?
- W milczeniu ponuro skinął głową.
- Ich problem. - Wzruszyła ramionami. - Złap go, skarbie, a oni niech się martwią, jak usprawiedliwić swoje niedopatrzenia.
- Jesteś bardzo pewna siebie.
- Zawsze wpajałam ci, że powinienesz wszystko wykonywać najlepiej, jak potrafisz. Jak dotąd się nie zawiodłam, więc jestem spokojna. Czemu jeszcze tu siedzisz z założonymi rękoma?
- Idę już, idę - roześmiał się, podnosząc z fotela. - Będę w piwnicy. Zamierzam z drutu, baterii i żarówek wyczarować system alarmowy. Jak to dobrze, że znam się trochę na elektronice.
- No widzisz, a tak nie chciałeś iść do tego technikum elektronicznego - przypomniała z wyrzutem.
- I tak zrezygnowałam po pierwszej klasie.

Rok wystarczył, żeby się przekonać, że naprawa odbiorników telewizyjnych nie jest moim przeznaczeniem. Ale, chwalić Boga, nauczyłem się, jak zakładać podsłuch. - Uśmiechnął się szelmowsko.

- Tak, to akurat mogłeś sobie darować. Naprawdę, jaki trzeba mieć tupet, żeby założyć podsłuch w gabinecie szefa policji.

Wciąż kręciła głową z dezaprobatą, gdy wyszedł na korytarz.

Nigdy nie przyznał się matce, iż najwięcej nauczył się od pewnego starszego kolegi, prawdziwego pasjonata wszelkich urządzeń służących do inwigilacji. W przeciwieństwie do większości kolegów, Curtis już na tym wczesnym etapie miał gotowy pomysł na życie. Wymarzył sobie bowiem, że zostanie agentem federalnym.

Całe popołudnie pracował nad skonstruowaniem maty z odpowiednią ilością czujników, reagujących na nacisk osoby ważącej minimum dwadzieścia kilogramów. Planował zainstalować urządzenie dopiero po zmroku, aby nie budzić sensacji, choć zdawał sobie sprawę, że jeśli snajper lub Abe Hunt faktycznie ukrywa się w okolicy, niewątpliwie obserwuje każdy jego krok. Z drugiej strony obydwaj potrzebowali kiedyś odpocząć, a jeśli świadek przemieszczał się nocą, jego prześladowca musiał również odsypiać w ciągu dnia.

Oczywiście jeśli jego podejrzenia miały cokolwiek wspólnego z rzeczywistością. Jeśli Abe Hunt faktycznie ukrywał się z jakiegoś powodu w okolicy. Jeśli nie, Curt mógł spokojnie pakować manatki, bo po wszystkich dotychczasowych wpadkach nie mógł sobie pozwolić na kolejną, choćby najmniejszą.

Przypomniał sobie słowa i wyraz twarzy Mary Ryan. Skoro już dwie osoby okazały mu tak wielkie zaufanie, nie mógł być aż takim nieudacznikiem. Wystarczyło tylko udowodnić to reszcie świata ...

Gdy pod wieczór Mary wróciła do domu, poszedł do niej na naradę. Przeszli do kuchni, ale zanim zaczęli rozmowę, nakazał jej gestem milczenie, sam zaś obszedł pomieszczenie z wykonanym własnoręcznie wykrywaczem urządzeń podsłuchowych.

- To tak na wszelki wypadek - wyjaśnił, chowając pudełeczko do kieszeni. - Uważaj, jak będziesz spacerować w ogrodzie. Rozłożyłem tam siatkę wykrywającą ruch i nacisk.

- Co zrobisz?! - Ujęła się pod boki.

- Rozłożyłem kable, połączyłem nimi czujniki ruchu i nacisku, od ulicy do samej szopy.

- W moich pomidorach?!

- Nie w pomidorach. W chwastach. Tych z żółtymi kwiatkami.

- W moich nagietkach?! - Złapała się za głowę. - Przecież to ekologiczne środki owadobójcze.

- Czy mogłabyś mnie wreszcie dopuścić do głosu? Nie pora rozpaczać nad kilkoma roślinkami, skoro te urządzenia mogą ci ocalić życie.

Nabrała głęboko powietrza w płuca. Nie mogła go winić za zniszczenie wszystkich kwiatów, skoro część podeptali policjanci, szukając śladów zbiega.

- OK - wycedziła przez zaciśnięte zęby.

- Jak już będzie po wszystkim, pojedziemy do sklepu ogrodniczego i kupimy ci dziesięć skrzynek sadzonek.

- Ale ja je wyhodowałam z nasion ...

- Tylko nie zaczynaj od nowa!

- Zdaje się, że nie masz bladego pojęcia, czym jest ogród, prawda?

W nagłym porywie podszedł do niej, chwycił wpół i pocałował z wściekłością. Na początku trochę się opierała, potem zamarła w bezruchu, aż wreszcie wtuliła się w niego i zaczęła odpowiadać na pieszczoty. Najpierw jej dłonie spoczywały spokojnie na jego pasku, a potem rozpoczęły wędrówkę w górę i w dół pleców.

Od dawna już nie czuł się tak wspaniale, całując kobietę. Oszołomiony, uniósł lekko głowę i spojrzał na Mary.

- Bardzo dobrze ci to wychodzi - pochwaliła, spoglądając na niego zamglonym wzrokiem.

- Dzięki, tobie też.

Przez moment patrzyli sobie głęboko w oczy, próbując wyrazić to, na co nie znajdowali słów.

- Dla ciebie ogród jest substytutem dzieci - stwierdził wreszcie. - Masz silnie rozwinięty

instynkt opiekuńczy, ale że jesteś zapracowana, pielęgnujesz pomidory i sałatę zamiast potomstwa. - Znów ją pocałował, tym razem nieco mniej gwałtownie. - Mogłabyś spróbować zaopiekować się mną. Moja matka ma już dosyć brudnych skarpetek i mokrych ręczników, walających się w łazience.

- Myślisz, że mam ochotę je oglądać w mojej?

- Czemu nie? Mamy podobne zawody, oboje jesteśmy miłymi ludźmi. Moglibyśmy wspólnie hodować kapustę, a może kiedyś znajdziemy w niej coś ciekawego ...

- Pomyślę o tym - obiecała, rumieniąc się.

- Świetnie. - Odsunął ją na odległość wyciągniętego ramienia. - Tymczasem zajmijmy się najpilniejszymi sprawami. Jak już wiesz, okablowałem twoją szopę, ogród i piwnicę mojej matki. Mysz się przecisnę, kot - też, ale już większy pies może uruchomić alarm. Mam prze-czucie, że dziś kogoś złapię, nawet gdyby miał to być zwykły podglądacz.

Jednak choć siedział w piwnicy do świtu, ani jedno światełko na wyświetlaczu się nie zapaliło. W okolicy nie działo się kompletnie nic, nawet pies spał jak zabity pod łóżkiem Matildy. Zniechęcony i wyczerpany Curt rzucił się na łóżko i spał jak zabity aż do wczesnych godzin popołudniowych.

Gdy otworzył oczy, na rękawie miał mokrą plamę, której sprawca, kudłaty rudy czworonóg, siedział na podłodze przy łóżku i tłukł ogonem w podłogę.

- Faj! - mruknął na widok zaślinionej koszulki. - Co ci się stało?

Zwierzę wciąż sapało i wyglądało, jak gdyby próbowało się uśmiechnąć. Bezwiednie wyciągnął rękę, by pogłaskać go po łbie.

- Hej, wiesz co? Nie jesteś taki najgorszy. O, a to co?

Na obroży wyczuł zgrubienie, którego do tej pory nie zauważył. Całkiem rozbudzony usiadł na łóżku i rozpiął sprzączkę. Pomiedzy dwiema warstwami obroży, zabezpieczony czarną taśmą klejącą, tkwił niewielki plastikowy pojemnik.

- A niech to! - zawołał, wyjmując zwitek papieru.

- Curt, jedzenie gotowe! - poinformowała z kuchni matka. - Nie śpisz już?

- Nie śpię!

Rozwinął karteczkę i przyjrzał jej się, pękając wręcz z ciekawości. Zapisano na niej szereg liter i cyfr. Wyglądało to na jakiś szyfr.

Wyskoczył czym prędzej z łóżka, zapiął psu obrozę i pospieszył do kuchni.

- Zobacz, co znalazłem - oznajmił podekscytowanym głosem, podając Matildzie kawałek papleru.

- To chyba jakiś kod - stwierdziła po dłuższym namyśle. - Skąd to masz?

- Z obroży twojego pupila. Zdaje się, że chodził z tym już od kilku dni. - Zmarszczył brwi. - A co, jeśli Hunt od kilku dni próbował się ze mną skontaktować, przysłał tego rudego postaćca, a ja się niczego nie domyśliłem?

- Mój drogi, nikomu nie przyszłoby do głowy szukać czegokolwiek na psie. Usiądź, zjedz, a potem się zastanowimy, co to może być. Działo się coś podejrzanego w nocy?

- Nie, cisza jak makiem zasiał. - Powoli wypił łyk gorącej kawy. - Ani widu, ani słyhu. Wiem, że ktoś buszował w szopie Mary, jestem niemal pewny, że mieliśmy nieproszonego gościa w piwnicy, ale wszyscy jakby się rozpułnili, wliczając w to kuzyna Hunta.

- On akurat wrócił.

- Naprawdę?!

- Tak, widziałam ich dzisiaj z okna. Wrócili całą rodziną.

- Może wywieźli go niepostrzeżenie? To wyjaśniąłoby, dlaczego od paru dni nic się nie dzieje. - Rzeczywiście. A jak myślisz, co ma znaczyć ten szyfr?

- Nie mam pojęcia. Na pewno nie jest to żaden kod do schowka czy czegoś takiego.

- Współrzędne? - podsunęła.

- Nie, za długie.

- Przeczytaj mi to na głos.

- LPST23LBSDB129. Widzisz? Nie ma w tym żadnej logiki.

- A czy w pojemniku było coś jeszcze?

- Kawałek brązowego papieru, w który okręcona była ta karteczka ... Czekaj, czekaj!
Podbiegł do psa, który właśnie chleptał wodę.
- Przepraszam cię, kolego - mruknął, zdejmując po raz kolejny obrożę. - Eureka! - zakrzyk-
nął, gdy udało mu się wyjąć brązowy kartonik.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W kilku słowach objaśnił matce wagę swego znaleziska, błyskawicznie przebrał się i z niedozwoloną prędkością pomknął do sądu w Lanier. Na szczęście w chwili, gdy wkroczył na salę rozpraw, ogłaszano wyrok, więc nie musiał długo czekać.

- Potrzebuję cię. - Złapał Mary za ramię i pociągnął na korytarz.

- Muszę przekazać papiery woźnemu sądowemu! - zaprotestowała, gdy znaleźli się na zewnątrz. - Zadzwoń do asystentki i poproś, żeby cię jakoś usprawiedliwiła. Mamy przełom w sprawie.

Wepchnął ją do auta, wsiadł za kierownicę, a ruszając z miejsca, podał Mary zwitek brązowego papieru.

- To kwitek z przechowalni! - zawołała podekscytowana.

- Mam coś jeszcze. - Pogrzebał w kieszeni i podał jej karteczkę z ciągiem cyfr i liter. - Czy dałabyś radę to odszyfrować?

Sam już wreszcie domyślił się, co to znaczy, ale chciał sprawdzić, czy jej myślenie pójdzie tym samym tropem.

- Chyba tak. Czekaj, niech się zastanowię ...

Na pewno chodzi o przechowalnię w Lanier, stąd literki LPS. LBSDB129 oznaczałoby numer skrytki w banku miejskim. Jak sądzisz?

- Bystra dziewczyna!

- Ciekawe, co jest w tej skrytce.

- Nie mam *pojęcia*, ale podejrzewam, że może to być jakiś dowód na to, że jeden z byłych kompanów Hunta popełnił morderstwo, aby uniemożliwić dalsze śledztwo.

Popędzili do przechowalni i zgodnie z przewidywaniami odebrali tam klucz do skrzynki depozytowej. Pospiesznie udali się do banku, gdzie przedstawili dokumenty tożsamości, ale mimo to musieli otwierać skrytkę w obecności prezesa banku. Jednak gdy włożyli kluczyk do skrytki, okazało się, iż czeka ich przykra niespodzianka.

- Jak to możliwe?! - wybuchnął Curt. - Przecież mamy właściwy numer i właściwy klucz. Dlaczego nie możemy otworzyć skrytki?

Prezes rozłożył bezradnie ręce, nie rozumiejąc, co jest nie w porządku. Tymczasem młoda urzędniczka, stojąca do tej pory za nim w milczeniu, odezwała się drżącym głosem.

- To nie moja wina ... Oni też mieli odpowiednie dokumenty. Powiedzieli, że są z Prokuratury Generalnej. Wzięli skrzynkę, przewiercili zamek i kazali wstawić nowy ...

Prezes poczerwieniał jak burak.

- Nic mi pani o tym nie wspomniała, panno Davis!

- Poinformowałam przełożonego. Pana wtedy akurat nie było. To się działo trzy dni temu.

Curt zacisnął zęby ze złości. Ktoś mu sprzątnął sprzed nosa jedyny dowód na słuszność jego przypuszczeń.

- Możemy jeszcze raz rozwiercić zamek - zaferował prezes, wyraźnie poruszony.
- Dziękuję, próżny trud. To, co istotne, na pewno już dawno zniknęło. Przechytrzyli nas. Mimo wszystko dziękuję za pomoc.

- A niech to diabli! - warknął, gdy wsiedli do auta, by wrócić do sądu. - Dlaczego wcześniej nie obejrzałem tego psa ...

- Kto mógł przypuszczać, że rudy przybłąda będzie miał wiadomość ukrytą w obroży. Nie jesteś przecież jasnowidzem - pocieszała go Mary. - Nie do wiary. Świadek zniknął. Dowód zbrodni skradziono. A ja znów mam kłopoty.

- Przynajmniej się starałeś, a inni agenci? Jakoś nie było ich specjalnie widać.

- I co z tego? Straciłem dwie noce, a nic nie osiągnąłem. No, poza zniszczeniem grządki nagietków. - Uśmiechnął się gorzko.

- Tym się akurat nie przejmuj, kilka się uchowało. Jak chcesz, mogę cię zaprosić na dobrą kolację, a potem zagramy u ciebie w bilard.

- Naprawdę? Lubisz bilard?

- Uwielbiam. Razem z koleżanką z akademika byliśmy postrachem naszych kolegów.

- Byłoby to miłe zakończenie paskudnego dnia. Dzięki.

- Nie ma za co. Od czego w końcu ma się przyjaciół?

Ostatecznie to pani Russell przygotowała kolację dla całej trójki. Pojadając sałatkę z szynki oraz ziemniaków oraz zagryzając ją chlebem domowego wypieku, dyskutowali na temat systemu sprawiedliwości oraz dziwnej mody na lokalne całodobowe stacje radiowe o profilu informacyjnym, do znudzenia powtarzające te same wiadomości co pół godziny.

Po kolacji matka została na górze z psem, natomiast Curt i Mary zeszli do piwnicy na bilard.

- Nawet nie zapytałem, jak ci poszła sprawa - zreflektował się, ustawiając bile. - Wygrałaś?

- Nie tę. Walczyłam jak lwica, ale ława przysięgłych nie dała się przekonać, że ten biedny starszy człowiek upił sąsiada i ukradł mu pieniądze. Ale wygrałam tę dotyczącą handlu narkotykami - pochwaliła się. - Cóż, raz na wozie, raz pod wozem, już się do tego przyzwyczaiłam.

Jako dżentelmen pozwolił jej na wykonanie pierwszego zagrania, czego natychmiast pożałował, bo w rezultacie samodzielnie oczyściła stół. - Świetnie się bawiłam - stwierdziła po kilku nastu partiach. - Ale mam jutro spotkanie o dziewiątej, więc ... Curt?

- Tak? - mruknął, ustawiając bile ponownie na środku stołu.

- Co oznaczają te wszystkie światełka? Odwrócił się, nie do końca świadomy jej słów, i dopiero gdy jego wzrok padł na migającą jak choinka tablicę, połączoną z systemem czujek w ogrodzie Mary, zrozumiał, co się dzieje.

- Ktoś jest znów w twojej szopie! Niesamowite. Mamy go!

- Chcesz iść tam sam? Nie czekając na policję? Bez słowa podszedł do wieszaka, na którym czekała w kaburze automatyczna czterdziestka piątka.

- Idź na górę i zadzwoń po Jacka. Niech się natychmiast skontaktuje z Hardym Vicksem. Nie obchodzi mnie, że będzie musiał wyjść z ciepłego łóżka, potrzebuję wsparcia.

- Tata nauczył mnie strzelać. Uśmiechnął się lekko i pocałował ją.

- Nie narażiłbym cię na takie ryzyko, gdybym nawet miał za to dostać wszystkie sztabki złota z Rezerwy Federalnej.

- Tylko nie daj się postrzelić!

- Ani mi to w głowie. Pędź.

Szybko pobiegła na górę, on zaś ubrał się i wyłączył światło. Kryjąc się za krzakami, rosnącymi wzdłuż domu matki i sąsiada, przedostał się do drogi. Tam schował się za żywopłotem i odczekał, aż hałas przejeżdżającej ciężarówki zagłuszy odgłos jego kroków na chodniku. Przekradł się do ściany szopy, wyjął pistolet, odbezpieczył i zaczął nasłuchiwać. Zdawało mu się, że ktoś z westchnieniem oparł się plecami o ścianę wewnątrz budynku. Serce zabiło mu mocniej. Zamknął oczy, by skoncentrować się tylko na tym, co działo się wewnątrz. Znów szelest, tym razem głośniejszy.

W najgorszym momencie przypomniało mu się, jak bardzo cierpiał, gdy został jedyny raz

postrzelony w czasie akcji przeciwko dilerom narkotyków w Nowym Jorku. Przywołał się do porządku i skupił myśli na matce i Mary. Wziął dwa głębokie oddechy. Z dala dobiegł go hałas kolejnej ciężarówki. Albo teraz, albo nigdy. Zaciśnął usta. Gdy odgłos silnika stał się głośniejszy, skorzystał z okazji i sforsował drzwi szopy.

W środku znajdował się wysoki, mocno zbudowany mężczyzna o falujących czarnych włosach, który natychmiast podniósł ręce.

- Nie strzelaj! - zawołał z przerażeniem. Curt wciąż miał pistolet wycelowany w jego brzuch.

- Jestem agentem specjalnym FBI. Kim jesteś?

- Abe. Abe Hunt. Czy możesz odłożyć pistolet?

- Ty głupcze! Co ty tu robisz? Przecież mogłem cię zastrzelić.

- Uciekam przed Danielsem. Człowieku, gdzieś ty był tyle czasu? Nie dostałeś mojej wiadomości? Posłałem psa ...

- A ty gdzie byłeś? - przerwał mu Curt. - Tu na pewno nie. Ten przeklęty pies ani pisnął od paru dni. Aż do teraz - dodał, słysząc głośnie wycie.

- O Boże! To on! Daniels! Redbone wyczuwa go na odległość.

W to był w stanie uwierzyć, widział bowiem psy, które potrafiły tropić ludzi jadących samochodem.

- Padnij! - krzyknął i pchnął Hunta na ziemię. Ten chciał coś powiedzieć, ale zamknął usta, pouczony silnym kuksańcem. Oczy powoli przywykały do ciemności. Curt, który umiał doskonale strzelać i mógłby się równać z niejednym snajperem, wiedział, że jeśli uda mu się w porę dojrzeć Danielsa, ma duże szanse, by go wyeliminować. Pod warunkiem, że tamten nie wpadnie na genialnie prosty pomysł podpalenia szopy, która spłonęłaby jak snop suchego siana, nie dając im czasu na ucieczkę.

Curt wsłuchiwał się w odgłosy dobiegające z ogrodu. Jak na złość w oddali znów rozległ się hałas ciężarówki, maskujący wszystkie inne dźwięki.

Choć Daniels sprytnie wydobyl dowód zbrodni z pozornie bezpiecznej kryjówki, nie oznaczało to końca pościgu za Huntem, który wciąż stanowił największe zagrożenie dla mafii. Dlatego można było założyć, iż snajper uczyni wszystko, co w jego mocy, aby uciszyć niewygodnego świadka, Curt zatem musiał zrobić jeszcze więcej, by go ochronić. Leżał więc w ciemności, wsłuchując się w ciszę, przerywaną wyciem psa. Każda komórka jego ciała działała na najwyższych obrotach, wszystkie zmysły wyteżał do granic możliwości.

Gdy wreszcie nastąpił atak, nadszedł z zupełnie nieoczekiwanej strony, a zapowiedziało go jedynie ciche skrzypnięcie. Na szczęście wystarczyło, by Curt błyskawicznie odwrócił się na plecy i wystrzelił w górę, w kierunku dachu.

- Ty idioto, gdzie strzelasz ... - krzyknął Hunt.

- Uważaj!

Curt w porę się zorientował i od turlał na bok.

Ciemna postać na dachu, ledwie widoczna przez szpary między deskami, wystrzeliła całą serię z automatycznej broni maszynowej. Curt poczuł piekący ból w ramieniu, ale nie przestawał strzelać. Chwilę później rozległ się głośnie jęk, postać zgięła się wpół, przewróciła na dach i wpadła do środka. Niemal jednocześnie rozległy się syreny policyjne.

- Żyjesz? - Curt spytał Hunta, który podnosił się powoli.

- Tak. A ty? Cały jesteś?

Curt nie był pewien, ale nie miał czasu na zastanawianie się, musiał bowiem jak najszybciej sprawdzić, w jakim stanie jest Daniels. Podeszedł do niego, obrócił na plecy i wyjął z zaciśniętych dłoni broń. Na jego piersi widniała spora plama z krwi.

- Dzięki, uratowałeś mi życie! - zawołał Hunt. - Hej, ty krwawisz!

Dopiero wtedy Curt poczuł, że jedno ramię ma dziwnie ciężkie, a w dodatku lepkie. Zdał sobie też sprawę z bólu w boku.

- Russell! Russell! Jesteś tu? - rozległ się znajomy głos.

- Jack! - Chciał krzyknąć, ale udało mu się jedynie wyszeptać imię przyjaciela.

- Jest ranny! Chodźcie tu, jesteśmy tutaj! - wzywał Hunt, jednocześnie podtrzymując Curta, by nie upadł na twarz.

Usłyszeli tupot, a także szcęk broni.

- Curt! - zawołała Mary.

- Mary! Mary, stój! Nie wolno ... ! - próbował ją zatrzymać Jack.

Bezskutecznie, bo chwilę później ukłękła przy Curtisie, drżącymi dłońmi sprawdzając rozmiar obrażeń.

- Jest ranny. Postrzelony dwa razy - poinformowała. - Gdzie są sanitariusze?

- Już biegna - uspokoił ją jeden z komandosów, którzy właśnie stanęli w drzwiach szopy. - Pospieszcie się, chłopaki! - zawołał do dwóch mężczyzn, biegnących z noszami.

- To jest Erskine Daniels - wyjaśnił Hunt, wskazując na leżącego obok nieprzytomnego mężczyznę. - Nazywam się Abe Hunt, jestem świadkiem koronnym w sprawie mafii narkotykowej w Atlancie. Widziałem, jak główny boss pozbył się innego świadka. Zastrzelili go i wrzucili do Chattahoochee. Zabierzcie mnie w bezpieczne miejsce, a wszystko wam wyśpiewam. Tylko najpierw zajmijcie się nim, dobrze? - Ruchem głowy wskazał Curta. - Uratował mi życie.

- Zajmiemy się - obiecał jeden z sanitariuszy. - Dostał dwa strzały, jeden w ramię, drugi w bok.

Ale wyjdzie z tego.

- Dzięki Bogu! - westchnęła Mary.

Gdzieś w pobliżu pies zawył dwa razy, a następnie do szopy weszła Matilda.

- Wolnego! To jest miejsce zbrodni, nie można tak po prostu tu wchodzić! - zaprotestował komendant policji, ale Matilda tylko się do niego uśmiechnęła.

- Moje biedactwo! - Ukłękła przy synu.

- Wszystko będzie dobrze. Mogę coś dla ciebie zrobić? - zapytała, kompletnie ignorując sanitariuszy i mamroczącego coś pod nosem Jacka.

Na szczęście w tym momencie Curtowi zrobiło się słabo i na chwilę stracił przytomność. Wielki rudy pies podbiegł, by polizać go po twarzy.

- Redbone, ty niewdzięczniku! - zawołał ze śmiechem Abe Hunt. - Wysłałem cię z ważną informacją, a ty co? Znalazłeś sobie nowy dom i zupełnie o mnie zapomniałeś.

- To pański pies? - spytała Matilda.

- Tak. A raczej to był mój pies, bo pewnie nie będę mógł go z sobą zabrać, prawda? - zwrócił się do mężczyzny, który w tym momencie pojawił się w szopie.

- Prawda - potwierdził Hardy Vicks. - Do diabła, to przecież Russell! Żyje?

- Oczywiście, że żyje! - oburzyła się Matilda. - To mój syn, prawdziwy Russell z krwi i kości, łatwo się nie poddaje. To na pewno tylko powierzchowne rany.

- A pani się na tym akurat zna - mruknął z przekąsem agent.

- Oczywiście, że się znam. Przez wiele lat relacjonowałam dla prasy aktualne wydarzenia, raz nawet zostałam postrzelona w czasie zamieszek w Atlancie - pochwaliła się. - Dwie kule przeszły mi przez udo, minęły kość zaledwie o pół centymetra.

Vicks aż cmoknął z podziwu.

- A więc pani jest jego matką?

- Owszem.

- Nie jest taki najgorszy - mruknął, zerkając na Curta, którego sanitariusze wywozili właśnie na noszach. - Muszę nawet przyznać, że jestem pod wrażeniem. Z tego, co mi powiedzieli policjanci, zdjął snajpera i ochronił świadka koronnego.

- To prawda - potwierdziła Matilda, przypatrując się z zainteresowaniem mężczyźnie. Był niemal łysy, a że zawsze lubiła łysiny, wydał jej się całkiem atrakcyjny. - Miałby pan może wolne miejsce w aucie, żeby podwieźć starszą panią do szpitala? Mary pewnie pojedzie z nim w karetce, więc dla mnie nie będzie miejsca.

- Z przyjemnością, tylko że nie widzę w okolicy żadnej starszej pani. - Uśmiechnął się szarmancko. - Jestem rozwiedziony. A pani nie jest zamężna?

- Owdowiałam wiele lat temu.

- Ja też kiedyś zostałem postrzelony - oznajmił z dumą w głosie.

Uśmiechnęła się, ale jej spojrzenie powędrowało w kierunku oddalających się noszy.

- Powinam jak najszybciej jechać do szpitala, muszę jeszcze tylko coś zrobić z psem ...

- Proszę go zatrzymać - zaproponował Abe Hunt. - Będzie mi lżej ze świadomością, że jest bezpieczny i zadbany.

- Dziękuję panu, panie ...

- Hunt. Abe Hunt. A gdyby pani czegokolwiek potrzebowała, proszę mi przekazać wiadomość przez niego. - Ruchem głowy wskazał agenta Vicksa. - Nie chcę się chwalić, ale mam bardzo szerokie znajomości.

Oczywiście wyobraźni ujrzała legion mężczyzn z kijami bejsbolowymi w dłoniach, oferujących jej pomoc w każdej trudnej sprawie.

- Jeszcze raz dziękuję, panie Hunt. Zaopiekuję się pańskim psem.

- Jest trochę tępy, ale ma dobre serce - zapewnił, klepiąc zwierzę po grzbiecie.

Po chwili podeszło do niego dwóch agentów, ujęło pod ręce i wyprowadziło z szopy.

- Chodź, Rudy. - Matilda zmierzwiła psu sierść i pociągnęła lekko smycz.

- Pomogę pani - zaofiarował się agent Vicks. - Taki duży zwierzak to zbyt wiele jak dla drobnej kobietki. Słyszałem, że ma pani w piwnicy stół do bilardu?

Curt ocknął się kilka godzin później, ledwie przytomny z bólu. Gdy otworzył oczy, spostrzegł, że obok łóżka siedzą matka i Mary, całkowicie pochłonięte rozmową.

- Ma nawet rodzinę w Cordele, gdzie mieszka też mój wuj - opowiadała z przejęciem Matilda. - Niesamowite, prawda? W dodatku uwielbia grę w bilard. Zaprosiłam go na kolację w piątek, Curt do tego czasu powinien wyjść ze szpitala. Może ty też przyjdiesz, moja droga? Upiekę taki chleb i bułeczki, jak ostatnim razem ...

- Z przyjemnością. - Mary uśmiechnęła się. - Kto ma ... rodzinę ... w Cordele? - wtrącił się Curt ledwie słyszalnym szeptem.

- Twój przełożony, kochanie. Agent specjalny Hardy Vicks. Zrobił na mnie doskonałe wrażenie. Poza tym pochwalił cię i twoje zaangażowanie w sprawę.

- Mamo, on to zrobił z premedytacją. Jest miłośnikiem bilardu. - Spróbował się uśmiechnąć. - Boli ...

- Ta pompa podaje ci środek znieczulający - poinformowała tonem znawczyni matka, wskazując na urządzenie podłączone przezroczystą rurką do jego nadgarstka. - Zaraz powinno zacząć działać.

Westchnął głęboko. Ramię ciągle wydawało mu się jakby cudze, a ból w boku zdawał się przekraczać jego wytrzymałość.

- Nie szarp tej rurki - poprosiła Mary, kładąc mu dłoń na zdrowym ramieniu. - Nie kręć się za bardzo, spróbuj wytrzymać. Zanim się zorientujesz, będziesz z powrotem w domu.

- Dałem się postrzelić. - Uśmiechnął się przepraszająco.

- Trudno, nikt nie jest doskonały. - Uśmiechnęła się krzepiąco. - Za to ocaliłeś Hunta. Ten snajper miał na koncie co najmniej pięć zabójstw, a gdyby nie twój doskonały słuch, powiększyłby je o dwa kolejne. Siedział przyczajony na dachu szopy i czekał na powrót Hunta, bo wiedział, że ten najbardziej na świecie kocha swoich kuzynów i psa. Hunt powiedział nam, że nie był w stanie ich zostawić, a zarazem bał się o ich bezpieczeństwo. Na to właśnie liczył Daniels. - Zaciśnęła na moment powieki. - Był gotów zabić was obu.

- Jak widać, nie przyszedł na mnie jeszcze czas. - Ujął jej delikatną, drobną dłoń.

- Bardzo się cieszę. - Spojrzała mu prosto w oczy.

- Mary przyjdzie do nas na kolację w piątek - poinformowała Matilda, nie kryjąc zachwyty z powodu ich zażyłości. - Będzie też agent Vicks. - Zagramy w bilard - dorzuciła Mary.

- Raczej wy zagracie, a ja sobie popatrzę. Będę ci podpowiadał. Chcę, żebyś mu dołożyła w moim imieniu. Uważa mnie za głupca.

- Ależ skąd! - zaprzeczyła matka. - Wręcz przeciwnie, napisał pochlebny raport i zgłosił cię do awansu.

- To prawda, wspominał coś o znacznie lepszym stanowisku w dużym mieście.

Był ledwie przytomny, ale nie mógł nie usłyszeć tonu rozczarowania w jej głosie.

- Kochanie, jestem pewien, że z twoimi referencjami w każdym dużym mieście znajdziesz pracę w biurze prokuratora okręgowego.

- Tak, ale praca w Lanier w zupełności mi odpowiada.

- Porozmawiamy, jak już stąd wyjdę. - Ujął ją za rękę i zamknął oczy. - Jestem taki senny

...

Znów odpłynął w nicość, ale nie wypuścił dłoni Mary. Matilda obrzuciła ją badawczym spojrzeniem.

- Zdaję się, że zaczął już robić plany ...

- Nie mam nic przeciwko temu. - Uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

- Ani ja. To dobry syn, jestem pewna, że będzie też dobrym mężem.

- Nie wiem, czy jego plany akurat to zakładają.

Matilda posłała jej pocrzepiający uśmiech.

Kilka dni później zabandażowany i obolały Curt leżał na kanapie w salonie matki, a u jego

stóp wylegiwał się wielki rudy pies.

- Naprawdę, jak można zaufać psu, że dostarczy wiadomość, od której zależy czyjeś życie ... - stwierdził, kręcąc głową z niedowierzaniem.

- W sumie to był niezły pomysł - od parł Vicks, popijając kawę po obfitym posiłku. -

Niestety nikt się nie spodziewał, że w naszych czasach można w taki sposób wykorzystać psa. Ale przypomnij sobie, jak to było z gołębiami pocztowymi w czasie pierwszej wojny światowej.

- We Francji taki gołąb został nawet odznaczony medalem - poinformowała Matilda. - W porę dostarczył Amerykanom wiadomość o tym, że powinni wstrzymać się z atakiem, zanim oddziały francuskie zdążą się wycofać.

- Ma głowę pełną takich ciekawostek - drażnił się z nią syn.

- Powinnaś napisać książkę - poradził Vicks.

- Tyle cennych wiadomości, a w cotygodniowych felietonach nie ma na nie miejsca.

- Książkę ... - powtórzyła w zamyśleniu.

- Jasne, któż inny nadałby się do tego lepiej - schlebiał jej. - To jak będzie z tym bilardem?

- Puścił do niej oczko.

- Chodźmy, chodźmy. Ostrzegam tylko, że wiem, jak się trzyma kij, więc nie myśl, że łatwo mnie ograć.

- Doskonale, uwielbiam kobiety, które znają się na ważnych sprawach.

Wśród śmiechów i żartów zeszli do piwnicy.

Curt przyglądał się w milczeniu Mary, która siedziała sztywno w przepastnym fotelu. Dołądała wszelkich starań, żeby nie sprawiać wrażenia tak przygnębionej, jak się faktycznie czuła.

- A więc to już koniec, został tylko proces.

Zdaje się, że nie będę brała w nim udziału, bo to sprawa na poziomie federalnym. Ale z przyjemnością będę go obserwować z sektora dla publiczności ...

- Mary!

Przerwała, spoglądając na niego spod uniesionych brwi.

- Chodź tu, proszę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Mimo jego prośby nie ruszyła się z miejsca.

Będąc nowoczesną kobietą, nie miała w zwyczaju przyjmować poleceń, zwłaszcza od mężczyzn. - Chodź, chodź - kusił, spoglądając na nią błyszczącymi oczyma.

Wbrew swojej woli podniosła się wreszcie i podeszła do niego.

- Nie będzie to łatwe, ale damy radę. - Przygarnął ją do siebie. - Na pewno damy radę.

Pocałował ją, a ona uśmiechnęła się pod jego wargami. Martwiła się o niego, gdy był w szpitalu, choć starała się tego nie okazywać. Teraz zaś ogarnęła ją taka ulga, że nie czuła najmniejszego skrępowania.

Zaskoczony jej przyzwoleniem, pocałował ją głęboko i namiętnie, kładąc obok siebie na kanapie. Już dawno nie pragnął tak żadnej kobiety, niestety ból ograniczał jego ruchy. Jęknął, wodząc ustami po jej szyi.

- Nie mogę ... - wyszeptał. - Nawet nie wiesz, jak bardzo cię pragnę, ale tak strasznie mnie boli ...

Westchnęła, przeciągając się rozkosznie.

- Nigdzie mi się nie spieszy. A tobie? Spojrzał na nią ze wzruszeniem. Dotknął drżącymi palcami jej ust, nie odrywając wzroku od lśniących oczu.

- Nie interesują mnie przelotne związki. Matka wychowała mnie dość surowo.

- Mój tata też starał się wpoić mi pewne zasady. - Uśmiechnęła się. - A to znaczy, że nie możemy się kochać na kanapie w salonie twojej matki.

Skinął głową.

- Ale ja też mam kanapę - kusiła.

- Jak sama powiedziałaś, nigdzie nam się nie spieszy. - Pochylił się i pocałował ją ponownie. - Zwłaszcza że jestem na zwolnieniu lekarskim, a potem mam do wykorzystania resztę urlopu.

- Czyżbyś chciał mi coś przez to powiedzieć?

- Owszem. Mamy wreszcie czas lepiej się poznać.

- Brzmi nieźle.

- Nawet lepiej niż nieźle. - Znów ją pocałował, tym razem z tak ogromnym żarem, że nie zauważył lekkiego nacisku na bok, który po chwili stał się wilgotny.

- Czyżbym znowu krwawił? - zdziwił się. Uniósł się na łokciu, by mogła sprawdzić.

Roześmiała się, kręcąc przecząco głową.

- To pies. Z sympatii aż cię zaślinił. A więc nie tylko ja cię kocham ...

Trzy miesiące później, jeszcze przed objęciem nowego stanowiska w biurze FBI w Atlancie, Curt pojął Mary Ryan za żonę podczas skromnej, wzruszającej ceremonii w Lulaville. Wśród gości znaleźli się wszyscy miejscowi policjanci, a także pracownicy sądu okręgowego i biura FBI w Lanier. Hardy Vicks siedział w rzędzie zarezerwowanym dla najbliższej rodziny, u boku Matildy Russell, która wyglądała na szczęśliwą i odprężoną. Rudy pies, przystrojony kwiatami, czekał przed kościołem, zaś po nabożeństwie został zaproszony do auta agenta Vicksa.

- Chcieli, żebyśmy zostali na uroczystym obiedzie, ale powiedziałem, że spieszymy się na samolot - przyznał się Curt swej świeżo poślubionej żonie.

- Naprawdę?

- W pewnym sensie - odparł tajemniczo, przyciskając pedał gazu udekorowanego z tej okazji auta.

Niespełna trzy kwadransy później zatrzymali się przed jednym z najbardziej ekskluzywnych hoteli w Atlancie. W drzwiach przywitało ich dwóch portierów w uniformach. Jeden z nich wziął kluczyki, by przestawić samochód na hotelowy parking, drugi zaś zajął się bagażem.

- Mamy rezerwację na nazwisko Russell - poinformował Curt recepcjonistę, uśmiechając się na widok zdumienia na twarzy Mary.

- Tak jest - potwierdził mężczyzna. - Proszę przyjąć nasze najserdeczniejsze gratulacje.

Kiedy dotarli na koniec korytarza, gdzie znajdowały się windy, z antresoli dobiegły ich chóralne śpiewy.

- Wczoraj zawitali do nas żołnierze piechoty morskiej - wyjaśnił portier, który pchał wózek z bagażami. - Lubią śpiewać tę piosenkę, a kto się znajdzie z nimi w windzie, musi im

- Nie miałam nikogo ...
- Ale przecież wyszłaś za męża, gdy miałaś osiemnaście lat!
- Tak, i zaraz się rozwiodłam.
- Chcesz przez to powiedzieć ... ? - Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia.
- Jak już wiesz, jestem dość staroświecka. - Zarumieniła się jeszcze bardziej.
- Uwielbiam staroświeckie kobiety - wyszeptał, przygarniając ją do siebie. - Dobrze pamiętam, że on też miał wtedy osiemnaście lat?
- Tak. A ja byłam jego pierwszą dziewczyną. Żadne z nas nie wiedziało, jak to się robi i niespecjalnie nam to wychodziło, więc kiedy się rozstaliśmy, nie miałam za czym tęsknić. Ale z tobą ... - Nabrała głęboko powietrza. - Z tobą ... Bardzo mi się podoba. - Przesunęła opuszkami palców po jego plecach. - Może powtórzymy od tego momentu, gdy tak rozkosznie westchnąłeś? - zasugerowała z szelmowskim uśmiechem.

- Może powinnam rzucić pracę i zajmować się tylko tym? - rozważała głośno, gdy tylko byli znowu w nastroju do rozmowy. - Czuję, że mam w tej dziedzinie talent.

- Podpisuję się obydwoma rękami!
- Tobie też niczego nie brakuje. - Potarła łydką jego udo. - Może byśmy tak przedłużyli miesiąc miodowy do czterech albo nawet pięciu miesięcy?

- Niezły pomysł.
Przeturlała się, by położyć mu się na piersi.
- Chciałabym zatrzymać psa.
- Słucham?! - Wytrzeszczył na nią oczy, była to bowiem ostatnia rzecz, jaką spodziewał się usłyszeć.

- Chcę zatrzymać Rudego. Twoja mama nie ma zbyt wiele miejsca, a my moglibyśmy zamieszkać u mnie, postawić porządne ogrodzenie, miałby wtedy gdzie biegać.

- Nie, proszę, nie psa. Nie tego psa!
- Proszę ... - Obsypała jego klatkę piersiową pocałunkami. - Bardzo proszę. - Z satysfakcją spostrzegła, że jej starania znacznie przyspieszyły mu oddech. - Bardzo, bardzo, bardzo proszę.

- Zgoda, zgoda! - wykrztusił z trudem. - Zgadzam się na wszystko.
- Tak? - Uśmiechnęła się łobuzersko. - W takim razie mam jeszcze jedną prośbę.
- Słucham?

- Nigdy więcej nie śpiewaj piosenki piechoty morskiej.
- Ale dlaczego?

Nie zdołał jednak dokończyć pytania, bo zamknęła mu usta pocałunkiem.
Ze snu wyrwał ich dźwięk telefonu. Curt przeturlał się na brzeg łóżka i sięgnął po słuchawkę.

- Mhm ... Mhm - mrucał, próbując przezwyciężyć senność. - Mhm ... Co takiego?! - Gwałtownie usiadł na łóżku. - Chyba żartujesz!

Mary otworzyła oczy i z niepokojem przypatrywała się mężowi, który był wyraźnie zszokowany wiadomościami. Odpowiadał monosylabami, wreszcie roześmiał się i życząc rozmówcy powodzenia, pożegnał się i zakończył rozmowę.

Ułożył głowę na poduszce, nie przestając uśmiechać się do siebie z rozbawieniem.
- Co się stało?
- Nie chcieli marnować takich pięknych kwiatów, a skoro pastor już i tak się pofatygował... Mieli już gości na miejscu, więc od razu się zdecydowali.
- Kto? Ale o co chodzi?
- Moja matka i agent Vicks ... Pobrali się!
- Niemożliwe!
- A jednak! Ech, trudno, zdaje się, że istnieją gorsze rzeczy niż dwóch agentów FBI w jednej rodzinie ...

Mary obrzuciła go zażenowanym spojrzeniem.

- Tak? - zaniepokoił się. - Coś chciałaś mi powiedzieć?
- Jak wiesz, tata nie mógł przyjechać na nasz ślub i dlatego przysłał nam kasetę z uroczyściami

życzeniami.

- Tak. I co w związku z tym?
- Tata jest w Wirginii.
- W Wirginii - powtórzył, nie pojmując, o co jej chodzi. - Ale gdzie w Wirginii?
- To się chyba nazywa Quantico.
- Nie. O nie! Nie! - zaprotestował.
- Tata stwierdził, że skoro ma zięcia w FBI, lepiej połączyć siły.
- Przeszedł do FBI?!
- Tak. Teraz to się już robi rodzinna specjalność. - Uśmiechnęła się, muskając wargami jego usta. - Wyobraź sobie, że wczoraj dostałam wszystkie dokumenty, które są potrzebne do wstąpienia do ...
- Nie chcę tego słyszeć! Proszę, ani słowa więcej.
- Ależ, kochanie ... - drażniła się z nim.
- Umówmy się w ten sposób: my będziemy ich łapać, a ty oskarżać, zgoda?
- Tylko żartowałam. Ale musisz przyznać, że to byłby numer stulecia.
- Nie bój się, jeszcze czeka nas takich wiele.

Miał rację. Dwadzieścia pięć lat później ich dwaj synowie oraz córka zostali jednego dnia zaprzysiężeni na agentów FBI, a świadkami podniosłej uroczystości byli dumni rodzice i dziadkowie.